
V
B
J
C

JANINA GODLEWSKA

NINKA

KSIĄŻKI RÓŻOWE I BŁĘKITNE

BIBLJOTEKA KSIĄŻEK RÓŻOWYCH № 89.

Skład główny: Warszawa, „Dom Książki Polskiej".

Zakłady Graficzne
„Polska Zjednoczona"
Warszawa

Mojej córeczce

Jagusi.

I.

PRZEBUDZENIE.

Przez szyby sączy się do dziecinnego pokoju poranny świt. Na podłodze leżą jeszcze smugi światła latarni ulicznej, stojącej naprost okna.

W kącie widać róg dużej ciemnej szafy, a na środku bieli się niski stołeczek i małe, przewrócone do góry nogami krzesełko.

Ninka otworzyła szeroko oczy. Oto leży w swojem łóżeczku pod niebieską kołderką. Naprzeciwko po drugiej stronie pokoju śpi mamusia. Łóżeczka Jędrusia nie widzi, gdyż stoi przy tej samej ścianie... Cicho, cichutko... W sąsiedniej jadalni zegar głośno szepcze swoje: tik, tak... tik, tak.

— Któraż to może być godzina? — pomyślała dziewczynka — chyba jeszcze bardzo wcześnie, bo dopiero świta.

Przymknęła znowu oczy.

— Aha, prawda... Dlaczego tak ją dziwnie główka boli?... Przecież spała twardo, musiała się wyspać, jak zwykle, a tymczasem... Ach, to było wczoraj. Wczoraj Tatuś pojechał na wojnę.... Odprowadzili go wszyscy:

mateńka, Andrzej, Jędruś, ciocia Mania, stryjek Adaś, a nawet Łobuz pies, ulubiony towarzysz zabaw. Doskonale pamięta, jak spieszyli się na dworzec, a tatuś ciągle powtarzał, że przecież nie może się spóźnić. Ninka uczepiła się jego prawej ręki, bo z lewego boku zwisała mu ciężka szabla.

Pamięta: jej cienkie paluszki kurczowo obejmowały dłoń, której dotknięcie tak dobrze znała i kochała. Przecież wszyscy pieścili dziewczynkę: i mamusia, i ciocia, i Andzia i babcia... a jednak ojciec Romek miał zwyczaj głaskać jej lewy policzek i mówić przytem:

— Co słychać, moja mała?

Tak doskonale pamięta, jak znaleźli się na dworcu, a tłok dokoła był wielki. W różne strony przechodzili lub przebiegali żołnierze z karabinami i tłomoczkami na plecach, oficerowie w wysokich czapkach i siwych mundurach. Łobuz nic sobie nie robił z tłumu i kręcił się ludziom między nogami, wywijając wesoło ogonem.

Ninka podniosła oczy na ojca. Miał na głowie małą okrągłą czapkę z ciemnym orzełkiem i patrzył na mamusię, a mamusia na niego szeroko otwartemi oczami, które jakoś dziwnie błyszczały. Serduszko Ninki ścisnęło się boleśnie.

— Dlaczego ojciec nie spojrzy na nią ani razu?

Pochyliła główkę i lewym policzkiem poczęła trzeć delikatnie o ostry rękaw mun-

duru. Tak czyniła zawsze, ilekroć chciała na siebie zwrócić jego uwagę. Nareszcie! Słyszy nad sobą przytłumiony głos:

— Co ci to, maleńka? co ci to? Wrócę, nie martw się, ty przecież jesteś zuch. Tyś najstarsza, najmądrzejsza, musisz opiekować się mamusią i Jędrkiem. Pamiętaj!

Nince robi się dziwnie słodko i smutno zarazem.

— No tak, prawda. Ona jest najstarsza i najmądrzejsza, jej nie wolno o tem zapominać, ona przecież jest „zuch". Ale pocó on jedzie? tak jej smutno, tak smutno.

Nagle czuje, że silne dłonie unoszą ją do góry. Z radością zarzuca ojcu ręce na szyję.

Ach, jak ona kocha tego ojca, jak kocha! Chwyciła go z całej siły za szyję i ze swej strony całuje. On przecież idzie na wojnę, a ona ma pilnować mateńki i Jędrusia.

— No, dosyć, dosyć mała.... — śmiejąc się. mówi ojciec — i inni też muszą się ze mną pożegnać.

A więc ściska wszystkich pokolei. Jędrka podniósł do góry i ucałował, a potem raz jeszcze i ją przytulił do piersi, wreszcie postawił córeczkę na ziemi, położył jej rękę na główce i patrząc pilnie w ciemne oczki, powiedział:

— Pamiętaj żeś zuch!

Jeszcze chwila. Konduktor wzywa do wsiadania i zatrzaskuje drzwiczki. Romek szybko wskakuje do wagonu i szarpie taśmę

u okna. Otworzył je nareszcie i wychylił się. Łobuz wspięty na tylne łapy, przedniemi oparł się o wagon, usiłując dostać pyskiem do okna. Nagle ostry gwizd rozdarł powietrze. Pociąg drgnął. Wolno, wolniutko obróciły się koła... Ninka pobiegła kilka kroków. Szybciej obróciły się koła wagonów. Nagle wszystko ginie jej z oczu. Widzi tylko ciemną plamę, a z ciemności patrzą na nią uśmiechnięte oczy ojca. Wyciąga rączki, chce coś krzyczeć, powiedzieć. Głos zamarł jej w gardle, otwarta szeroko buzia nie wydała nawet szeptu... Potem widzi już tylko zarys czapki, a po chwili już nic.

— — — — — — — — —

W drugim pokoju zegra zaczął wolniutko bić. Dziewczynka rachuje szeptem: raz, dwa, trzy, cztery pięć, sześć... Dopiero szósta, tak wcześnie! Do szkoły jeszcze ze trzy godziny czasu.

— A może to nieprawda... Może jej się śniło, że on pojechał...

Uniosła główkę i rozejrzała się dokoła. Drzwi od pokoju ojca otwarte. Ninka doskonale zna te drzwi. Nieraz budziła się w nocy i widziała wychodzącą z poza nich długą smugę światła. To tatko pracował. A teraz, może on śpi?

— Ej, zajrzę!...

Ostrożnie, cichutko stąpają bose nóżki po zimnej podłodze. Ninka skrada się do pokoju ojca, żeby tylko mateńki nie obudzić.



Ostrożnie, cichutko stąpają bose stópki.

A najgorzej to z tym Jędrkiem, bo on zaraz narobi krzyku wniebogłosy, ‚że on też chce do Lomka“.

Ninka posuwa się bez szelestu. Długa nocna koszulka okrywa ją całkowicie, więc się nie zaziębi, pantofelków nie kładzie, bo chce iść pocichu, a zresztą tatko da jej swoje, tak jest przecież każdego ranka. Stół zarzucony książkami i papierami, patrzy na nią przyjaźnie. Ninka doskonale wie, że nic na nim poruszyć nie wolno. Pióro porzucone stoczyło się na samą krawędź; pod stołem leżą jakieś kawałki papieru. Zwróciła wzrok na łóżko. Ańdzia widocznie z przyzwyczajenia zasłała je wczoraj wieczorem. Kołdra leży równiutko, poduszki również. Puste krzesło stoi obok. Ależ niema nikogo! Mołe nóżki ugięły się pod kolankami.

— Więc to prawda! prawda! Ojca niema!

Ninka nie widzi i nie czuje już nic, tylko coś ją boli bardzo w piersiach. Jednym skokiem znalazła się na łóżku tatusia, wsunęła cichutko pod kołdrę, główkę wtuliła w poduszki. Łzy, jak groch, posypały się z oczu. Drżące rączęta bezradnie obejmują poduszkę, a drobne usteczka szepczą żałośnie:

— Niema go, niema!...

II.

DO SZKOŁY.

Stół nakryty do śniadania. Mateńka woła
— Ninko, Ninko, śpiesz się, już po ósmej
Dziewczynka pakuje książki. Idzie jej to jakoś niesporo. Niesforny piórnik nie chce się zamknąć. Pewnie zameczek popsuty. A i ta „arytmetyka“ gdzieś się zapodziała. Ninka raz jeszcze przerzuca na półce książki i zeszyty. Wreszcie śpiesznie zamyka szafkę na kluczyk, który wsuwa do kieszeni fartuszka. Mateńka nie lubi nieładu i tyle razy prosiła córeczkę, żeby szafka była zawsze w porządku. Ninka chętnie nawet w niej układa, ale teraz ma tyle do roboty, że nigdy nie może podołać wszystkiemu. Ot, naprzykład, ledwie może zdążyć przełknąć śniadanie, żeby choć ta nudna kaszka nieco wystygła!

No, piórnik zamknięty i teczka gotowa. Dziewczynka wbiegła do stołowego. Jędrek siedzi przy stole, śliniaczek i buzia już usmarowane kaszką. Mama go karmi. To praca mielada! Ninka nigdy w życiu nie widziała takiego grymaśnika! Mateńka ma świętą

cierpliwość: często, żeby zająć uwagę malca opowiada mu bajeczki, których i ona chętnie słucha.

Ale dzisiaj Jędrek jakoś wyjątkowo grzecznie i cicho zajada, chociaż mateńka bajek nie opowiada, a dziwnie mizernie wygląda. Dziewczynka, siadając z pośpiechem na swoje miejsce mimowoli spojrzała na puste krzesło obok stojące. Ańdzia już nie położyła tam nakrycia, ani kawy z kożuszkiem nie postawiła. Serduszko dziewczynki znowu się ścisnęło.

— Kto ją dziś odprowadzi do szkoły? Dotąd codziennie chodziła z ojcem, który potem szedł do biura, a teraz?

Najchętniej poszłaby sama. Już dziewięć lat skończyła i doskonale umie przechodzić przez ulicę. Ale pewnie mateńka jej nie puści, a grymasić przecież nie będzie. Z niepokojem spojrzała na matkę. Zna ją dobrze i wie, dlaczego dziś tak cichutko, bez słowa karmi braciszka. Na szczęście i on jakiś grzeczny.

— Może nareszcie trochę zmądrzał — pomyślała dziewczynka.

— Pół do dziewiątej, spóźnię się mamusiu!

— Ańdziu, Ańdziu, prędzej! — woła pani Orzecka.

Dziewczynka podchodzi do matki. Zwykle, uścisnąwszy ją mocno, jak wiatr zbiegała za ojcem po schodach. Dziś sama nie wie, jak się ma pożegnać. Chce jej coś po-

wiedzieć, coś bardzo dobrego, ale nie umie. Podchodzi więc i chwilkę stoi w milczeniu. Nagle, jakby olśniona jakąś myślą, zarzuca jej rączki na szyję, przytula się mocno i szepcze cichutko do ucha:

— Słuchaj, matuś, prawda, że ty jesteś zuch, a ja ciebie bardzo, ale to bardzo kocham!

— Oj, ty, ty... — goni ją matczyny szept. Dziewczynka triumfuje: na ustach mateńki pojawił się uśmiech.

Ninka już ubrana,Ańdzia bierze koszyk. Trzeba się bardzo śpieszyć, więc prędziutko schodzą ze schodów.

Ulica... Jakiż to dzisiaj ruch w Krakowie! Na rynku ze wszystkich stron biegnie mnóstwo ludzi. Gazeciarze krzyczą i krzyczą, wtykając przechodniom płachty zadrukowanego papieru. Dziewczynka ogląda się ciakawie. A może zobaczy gdzie polskiego strzelca? Ale nic nie widać, wszędzie sami Austrjacy.

— Jaka szkoda, jaka szkoda — szepcze ze smutkiem.

— Trzeba się śpieszyć — gderze Ańdzia— nie oglądaj się tak za siebie, jeszcze wpadniesz pod tramwaj albo pod samochód.

— Nie wpadnę, nie wpadnę, tylko pozwól mi popatrzeć chwileczkę, choć sekundę! O, wojsko idzie — prosi dziewczynka.

Jakoż środkiem Florjańskiej posuwa się kolumna austrjackiej piechoty. Żołnierze

idą zwartemi szeregami, pochyleni nieco na przód. Ztyłu sterczą im mocno wypchane plecaki i ciasno zwinięte koce. Każdy niesie na ramieniu karabin.

Jaka szkoda, że to nie strzelcy, cała ulica krzyczałaby im: „dowidzenia", dawała papierosy i kwiaty.

Ninka przystanęła i poczęła się pilnie przypatrywać żołnierzom. Oni też idą na wojnę, a może też zostawili w domu dzieci? Prawie napewno zostawili, o ten, naprzykład, który teraz zbliża się do Ninki, taki duży, jak Romek, tylko znacznie czarniejszy. Patrzy z uśmiechem na dziewczynkę, coś do niej nawet zagadał, ale nie zrozumiała.

— Napewno Węgier — mruczy Andzia — chodź, śpiesz się.

Ninka posłusznie podążyła za nią. Jeszcze trzy kroki i już szkoła.

Nagle dziewczynka wydała okrzyk radości. Po przeciwnej stronie ulicy idzie strzelec. Ninka widzi maciejówkę i orzełka. Jednym susem znalazła się przy nim.

— Pan idzie na wojnę, nieprawda? — rzuca pytanie, podnosząc śmiało oczki w górę.

Z pod siwej maciejówki patrzy na nią uśmiechnięta jasna twarz.

— Jeszcze nie idę, ale niedługo pójdę — brzmi wesoła odpowiedź — albo co?

— Ninka, Ninka — ciągnie ją ztyły Andzia — skaranie boskie z tą dziewczyną, za

czepia ludzi na ulicy, do szkoły się spóźni, a ja do miasta kiedy zdążę?

— Zaraz Ańdziu, zaraz — uspakaja ją dziewczynka.

Nagle coś sobie przypomina. Otwiera koszyczek, w którym nosi śniadania i wyciąga zeń owiniętą w srebrny papierek czekoladkę, którą mateńka jej włożyła.

— Proszę to wziąć, bardzo proszę, to z sokiem, bardzo dobre! — prosi natarczywie, patrzy przytem błagalnie na żołnierza.

— Dobrze, wezmę i dziękuję — mówi z uśmiechem młody żołnierz — ale już nie mam czasu, dowidzenia — przykłada rękę do czapki.

— Dowidzenia — woła uszczęśliwiona dziewczynka — dowidzenia, ja też spieszę się do szkoły, a proszę uważać, żeby się nie zgniotła w kieszeni, bo to z sokiem! — woła za odchodzącym.

III.

LEKCJA.

Już szkoła. Dziewczynka bierze z ręki Ańdzi teczkę i butelkę z mlekiem.

Na podwórzu rozlega się ostry głos dzwonka.

— Ańdziu! dzwonek! Co też pani powie, że się spóźniłam!

Ninka skacze po dwa schody. Szybko zrzuca płaszczyk, który, źle zaczepiony o wieszak, spada na ziemię. To nic, i tak sama go nie powiesi, bo płaszczyków cała góra, a tam lekcja pewnie już zaczęta.

Na korytarzu niema nikogo. Dziewczynka zatrzymała się przed drzwiami klasy. Wchodzi. Wszystkie dzieci siedzą na swoich miejscach. Pani stoi przy stoliku i coś głośno czyta. Spojrzała ze ździwieniem na dziewczynkę, która nigdy się nie spóźniała.

— Ninko! co to się stało? dlaczego tak późno?

Ninka stoi zarumieniona ze spuszczoną główkę, chcę odpowiedzieć i wstydzi się. Czuje, że łzy napływają jej do oczu. Spuszcza jeszcze niżej główkę i stoi w milczeniu.

— Idź na miejsce — mówi pani, wytłumaczysz się później.

Dziewczynka posłusznie siada koło Kazi Mateckiej.

Polski. Dzieci kolejno czytają przygotowaną lekcję. Trzeba bardzo uważać, aby na każde zawołanie móc czytać dalej. Ninka stara się patrzeć w książkę, ale pomimo największego wysiłku nie rozróżnia liter, nie rozumie wyrazów. W oczach stoi jej ciągle uśmiechnięta twarz młodego strzelca.

— Ach, żeby tylko ta czekoladka się nie zgniotła, bo i mundur mu się pobrudzi i korzyści żadnej nie będzie — myśli stroskana.

— Ninko! dalej — słyszy nagle głos pani.

Kazia podsuwa jej książkę i pokazuje paluszkiem jakiś wyraz.

— To tu, to tu — szepcze pocichu.

Dziewczynka wstaje, ale czyta niepewnie i zacina się co chwila.

— Ninko, co ci to? — pyta pani — nie nauczyłaś się lekcji, a teraz nie uważasz — mówi z wyrzutem.

Dziewczynka znowu spuszcza oczy. Rzeczywiście nie uważała. Zawstydzona siada na miejsce i pilnie śledzi oczyma długie rzędy czarnych literek równiutko biegnących po stronicy.

Dzieci skończyły czytanie. Jeszcze dwoje opowiadało, a teraz nowa lekcja.

— Otwórzcie książki na stronicy sześćdziesiątej trzeciej — mówi pani.

Przez chwilę słychać szelest przewracanych kartek. Wreszcie dzieci znalazły 63-ą stronę i cichutko zaczynają czytać tytuł: „O żołnierzu tułaczu“. Jak zwykle pani sama przeczyta nową powiastkę, a potem dzieci będą czytać ją po kolei. Ninka bardzo lubi słuchać, jak pani czyta. Dziś obiecuje sobie podwójnie uważać, aby naprawić poprzednie roztrzepanie. Pani tymczasem wstaje z krzesła i po chwili jej dźwięczny głos dochodzi wyraźnie do uszu dziewczynki.

Idzie żołnierz borem, lasem,
Przymierając z głodu czasem.

Potem pani opowiada, jak ciężka jest dola żołnierza. Porzuca dom rodzinny, opuszcza żonę, dzieci i idzie w świat. Towarzysząmi jego stają się trud, rany i śmierć. Nieraz tygodniami maszeruje po słońcu lub błocie, choć ugina się pod ciężarem karabinu i plecaka. Nieraz dokucza mu pragnienie i głód. Podczas bitwy świszczą wokół kule, a każda niesie z sobą kalectwo lub zgon. A żołnierz musi iść naprzód, ciągle naprzód.

— Przypatrzcie się temu obrazkowi — mówi dalej pani.

Ninka przygląda się pilnie. Na obrazku jest ciemny las. Na środku polany pali się ognisko, a obok stoi gromadka żałnierzy w mundurach z karabinami na plecach. Drzewa ogołocone są z liści, to jesień. Żołnierze garną się do ogniska.

cie na bocznym stoliku w stołowym pokoju. Było siedem talerzyków, siedem filiżanek i spodeczków; ciasteczka udały się doskonale i ładnie wyglądały na białej bibułowej serwetce; tabliczki czekolady, pokrajane w kosteczki, i rumiane jabłuszka nęciły oko.

Jędruś cały czas chodził dokoła stolika, łykając ślinkę. Ninka dobrze wiedziała, czem się może skończyć to przyglądanie się małego łakomczucha, dała mu więc najmniejszy kawałek czekolady i gorąco prosiła, aby nic więcej nie ruszał. Jędrek zjadł czekoladkę, krzywiąc się, że dostał tak mało. Nabrawszy jednak przekonania, że później rzeczywiście dostanie więcej, wyciągnął klocki z kąta i spokojnie ustawiał z nich domki, zrzadka już tylko rzucając tęskne spojrzenie w stronę stolika.

Dzieciom jest wesoło, gdyż niedzielna zabawa zawsze się udaje.

Wszystko już gotowe. Ninka musi się jeszcze uczesać, wyjmuje więc z szufladki grzebień i biegnie do pokoju ojca, w którym teraz sypia mateńka. Coś niecoś się tu zmieniło. Przedewszystkiem książki i papiery nie zaściełają całego stołu, na którym teraz stoi pudełko z włóczką i leży jakiś zeszyt mateńki, w kącie stoi toaleta, przeniesiona z dziecinnego pokoju.

Pani Orzecka siedziała przy stole i pisała list. Nieodrazu zauważyła wejście córeczki, która stanęła cichutko obok i pilnie śledzi-

ła ruchy ręki i pióra. Wiedziała, że mama pisze list, który jutro stryjek Adaś ma zabrać z sobą. Stryjek Adaś też jedzie na wojnę. opowiadał to wczoraj dzieciom. Ninka jest nawet z tego zadowolona.

— Niech jedzie, przynajmniej tatusiowi nie będzie tak samotnie. Ale teraz znowu zauważyła smutek w oczach matki i jest niespokojna. Mamusia coś przed nią kryje, a ona tak chciałaby wiedzieć. Nie śmie przerywać jej pisania, ale przecież koniecznie musi się uczesać.

— Matuś, uczesz mnie — prosi cichutko. pieszczotliwie.

— Zaraz, za chwilkę — odpowiada pani Orzecka, — chcę skończyć list.

Dziewczynka podeszła do okna i czeka cierpliwie. Z okna widać ulicę, więc zobaczy, jeżeli które z dzieci będzie się zbliżało.

— Chodź, córuś, już skończyłam.

— To doskonale — woła uradowana.

Właściwie mogłaby uczesać ją Andzia. ale Ninka najwięcej lubi być czesaną przez mateńkę. Jej gęste włosy plączą się łatwo. a nikt nie umie ich tak delikatnie i miękko rozczesać, tak mocno zawiązać wstążki. Odwraca więc główkę i śpiesznie pomaga mamusi rozplatać warkoczyki. Już czwarta, lada chwila dzieci przyjdą, a ona jeszcze roztargana.

— Prędzej, prędzej, matuś — woła niecierpliwie.

— Jeszcze zdążysz. Już jeden warkoczyk zapleciony, a teraz i drugi.

Ninka z zadowoleniem przygląda się sobie w lustrze. Nagle zobaczyła w niem odbicie matki, która pochylona w tej chwili nad stołem ukradkiem ociera z oczu łzę. Dziewczynce ścisnęło się serduszko: mateńka ma jakieś zmartwienie, a jej o tem nie mówi, odwraca się więc szybko, chwyta matkę za szyję i prosi:

— Matuś, matuś, ty jesteś smutna, a ja nie wiem dlaczego, powiedz mi, dlaczego płaczesz?

— Nic mi nie jest — uspakaja ją mateńka.

Wtem zadźwięczał dzwonek.

— Dzieci idą! — zawołała radośnie Ninka, zapominając w tej chwili o wszystkiem i biegnąc do przedpokju, gdzie już Ańdzia otworzyła drzwi Zosi Michalskiej i jej braciszkowi. Odprowadza ich starsza siostra.

— O której godzinie skończy się zabawa— pyta, rozbierając małego Jureczka, — bo przyjdę zabrać dzieciaki.

— Mateńko, o ósmej, o ósmej — prosi Ninka — będziemy się tak świetnie bawić.

— Niech będzie o ósmej — zgadza się pani Orzecka.

W tej chwili znowu odezwał się dzwonek: to Tadzio i Staś już bez żadnej opieki, bo Staś, o rok starszy od Ninki, opiekował się młodszym Tadziem, zresztą mieszkali nieda-

leko. Gdy się rozebrały, cała gromadka z krzykiem pobiegła do dziecinnego pokoju.

— W co będziemy się bawić? — pytają dziewczynki.

— Ależ naturalnie, że w wojnę — odpowiada stanowczo Staś w imieniu chłopców.

— Doskonale! w wojnę! ale my też chcemy być żołnierzami i bić się — oświadczają stanowczo dziewczynki.

— Nie, lepiej my będziemy żołnierzami, a wy siostrami miłosierdzia—decyduje Staś.

Jego głos przeważa, bo najstarszy, nawet już gazety czyta.

— Ja będę Komendantem — mówi Staś,— a Jędrek i Tadzio — to będą moi strzelcy. Nie mam dla nich karabinów, bo mi Austrjacy nie dają, ale te krzesła, to będą Moskale! My im odbierzemy karabiny i uzbroimy nasze wojsko. Ba, nietylko karabiny, nawet armaty sobie zdobędziemy.

— Doskonale! świetnie! — wołają uszczęśliwione dziewczynki.

— Ach, Dzidka! — krzyknęła radośnie na widok wchodzącej koleżanki.

— Wszystko dobrze, ale nie mamy karabinów, nawet dla Moskali — mówi zakłopotana mała gosposia, — bo Jędruś ma tylko jedną strzelbę, co ją dostał na gwiazdkę.

— To nic nie szkodzi — pociesza ją Staś— napewno są jakieś laski, kije od szczotek, a może nawet stare parasolki.

Dziewczynki rozbiegają się po domu w poszukiwaniu karabinów, chłopcy tymczasem maszerują zapamiętale naokoło stołu.

— Raz, dwa, trzy! — komenderuje z przejęciem Staś, — lewa, prawa, lewa, prawa.

— Ja nie chcem, ja nie chcem — woła po chwili Jędruś — to ja jestem Komendant, a on niech będzie strzelec.

— Ale ty nie potrafisz — usiłują przekonać go dziewczynki, które znalazły już odpowiednią ilość kijów i z radością przypatrywały się maszerującym chłopcom.

— Ach prawda, czapek nie macie — spostrzegła Ninka.

— Biegnijno do Andzi po stare gazety, to im zaraz zrobimy czapki — radzi mądra Dzidka.

Niebawem wszyscy strzelcy mają spiczaste czapki z pióropuszami. Dziewczynki pomimo natarczywych żądań ani rusz nie umiały zrobić z papieru maciejówek. Zato na każdej czapce ślicznie wyglądały tarcze z orzełkami, które mamusia na poczekaniu wycięła z kolorowego papieru.

— No, a teraz będzie bitwa pod Kielcami — zapowiada Staś. — Oto są Moskale — woła, pokazując w kącie pokoju ciasno ustawione krzesła. — Tam są nasze karabiny i amunicja.

U każdego krzesła sterczał dumnie przywiązany sznurkiem kij lub parasolka.

Bagnet na broń! Do ataku! marsz! — brzmi komenda.

Jak było do przewidzenia, atak udał się doskonale. Dziewczynki podziwiały z jaką furją rzucili się mali strzelcy na nieszczęsne krzesła, które po chwili wszystkie leżały obalone do góry nogami.

— Nieprzyjaciel pobity, zwycięstwo! — woła triumfująco Tadzio, — ale ja jestem ranny — dodaje, utykając na nogę.

— A ja zabity — mówi Staś, padając odrazu, jak długi na ziemię.

— Nie, ty nie możesz być zabity, bo ty jesteś Komendantem — mityguje go Dzidka — a bez Komendanta nie będzie Polski. Niech lepiej Jędrek będzie zabity.

— Ja nie chcę, — protestuje Jędrek — ja się boje. Jak ja będę zabity, to oni wszystkie ciastka zjedzą—przypomniał sobie mały łakomczuch— i mnie nic nie dadzą.

— A ja się nie boję, ja mogę być zabity— woła odważnie Jurek — niech Jędrek nie płacze.

Zabawa idzie doskonale. Po chwili ranny Tadzio siedzi z obnażowaną nogą na otomanie, a Jędrek, który ostatecznie zgodził się być ciężko rannym, pokazuje teraz wszystkim swoją główkę, owiniętą starannie ręcznikiem, zapiętym agrafką. Dziewczynki w nocnych koszulkach Ninki uwijają się między rannymi. Komendant siedzi poważnie za stołem i studjuje z zapałem atlas geo-



Zabawa idzie doskonale.

graficzny, który pani Orzecka pozwoliła Nince wziąć z pokoju ojca.

Ale czas na podwieczorek.

— A to doskonale, teraz urządzimy przyjęcie na cześć strzelców — proponuje Dzidka. — Dziecinny pokój to będzie Warszawa. Strzelcy zdobyli Warszawę, a my będziemy ich przyjmować. Ale chłopcy muszą chwilę pobawić się w stołowym, abyśmy mogły wszystko przygotować.

Chłopcy zgadzają się z ochotą i wybiegają do stołowego.

Dziewczynki raźnie wzięły się do dzieła. Niebawem w dziecinnym pokoju na środku ustawiły stolik, a na nim wszystkie przysmaki. Wtem w stołowym rozległa się wesoła piosenka i kroki maszerujących żołnierzy. Dziewczynki otworzyły drzwi i oczom ich ukazał się wspaniały widok.

Na czele kolumny piechoty na niskim stołku jechał Staś. Stołek doskonale udawał dziarskiego rumaka, a popychany nogami chłopca, posuwał się nawet raźno naprzód. Za wodzem maszerowali strzelcy z karabinami na ramionach. Wszyscy razem śpiewali

Raduje się serce, raduje się dusza,
Gdy nasza kompanja
Na wojenkę rusza
Oj da, oj da dana! Oj da, oj da dana!
Niemasz to, jak nasza, nie!

— Ależ wyglądajcie, jak prawdziwi

strzelcy, — wołały zachwycone dziewczynki.

Krocząc na tyle Jędrek z dumą wydął brzuszek i szeroko stawiał nożyny, starając się dorównać starszym, ale w przejściu do stołowego karabin zaplątał mu się w portjerę i nieborak upadł plackiem na podłogę. Zerwał się jednak szybko i, trąc stłuczoną teraz naprawdę łepetynę, pogonił za oddalającą się kolumną.

Jeść jednak chciało się wszystkim. Na widok zastawionego na środku pokoju stolika strzelcy wydali głośny okrzyk radości i nietylko Jędrek, ale cała gromada zapomniała odrazu o wojnie. Karabiny poszły w kąt, Łobuz zajął swe zwykłe miejsce obok sadowiącego się pośpiesznie Jędrusia, a pozostałe dzieci ze śmiechem obsiadły stolik.

Kakao z pianką było wyśmienite, ciasteczka chrupały w ostrych ząbkach, wkrótce też z czekolady i jabłuszek zostało tylko wspomnienie. Po podwieczorku były jeszcze inne zabawy, jak: „ślepa babka“, „chowanego“, i dzieci ani się obejrzały, jak wybiła siódma.

Pani Orzecka weszła do pokoju Ninka wiedziała, co to znaczy. Mamusia obawiała się zawsze, że dzieci, rozgrzane długiem bieganiem, mogą się zaziębić po wyjściu na dwór. Wobec tego po skończonej zabawie miała zwyczaj czytać im głośno, albo opowiadać bajkę. Dzieci bardzo to lubiły, to

też, gdy kazała im pozbierać porozrzucane w obu pokojach zabawki i usiąść grzecznie przy sobie, chętnie usłuchały. Mamusia zajęła miejsce na otomanie, a mali goście pospiesznie obsiedli ją dokoła. Dnia tego usłyszały bajkę o „Śpiącej królewnie". Znały ją doskonale, ale słuchały, jak zwykle z ciekawością. Skończywszy opowiadanie, mateńka zapytała:

— Słyszałam z drugiego pokoju, że bawiliście się w wojnę i Staś był Komendantem. A czy wiecie, kto to jest Komendant?

— Ja wiem — odpowiedział Staś — Komendant to jest Józef Piłsudski, nasz wódz naczelny.

— Niestety, nie wódz naczelny, a tylko dowódca I brygady — poprawia go mamusia — a wiecie dlaczego szanować i czcić go powinniśmy?

Dzieci nie wiedziały co odpowiedzieć.

— Bo on tworzy nasze wojsko, aby z niem wywojować wolną Polskę — ciągnęła dalej, — bo uczy nas wszystkich, jak o tę Polskę mamy walczyć.

Dzieci zamyśliły się. Ninka wlepiła oczy w matkę, która tuliła do siebie Jędrusia, siedzącego na jej kolanach. Malec, jako najmłodszy z całego towarzystwa, był już porządnie śpiący i tarł uporczywie piąstkami powieki.

W tej chwili weszła Andzia z wiadomością, że przyszli po dzieci. Nince zrobiło się

bardzo smutno, że taki wesoły dzień musi się skończyć. Błagalnie spojrzała na mateńkę, choć wiedziała , że nic nie wskóra. Na zegarze dochodziła już ósma. Mali goście żegnają się, całują ręce mamusi, dziękując za zabawę, a ona każdego z nich ubiera kolejno w płaszczyk, i wyprowadza na schody. Po chwili w stołowym zostaje tylko pani Orzecka z dziećmi. Jędruś rozespał się na kanapie, ale Nince nie chce się spać. Stoi przy oknie i patrzy w zamyśleniu w ciemną ulicę. Nagle odwraca się do matki, rozbierającej tymczasem Jędrka, i pyta:

— Mateńko, to tego Komendanta trzeba kochać?

— A trzeba, maleńka — brzmi cicha odpowiedź.

W pół godziny potem Ninka klęczy przed łóżeczkiem i mówi wieczorny pacierz. Jak zwykle podnosi oczy ku słodkiej twarzy Matki Bożej, patrzącej ku niej z obrazka.

— A teraz daj Boże zdrowie mamusi, Romkowi, Jędrkowi i Komendantowi.

V.

RANNY ŻOŁNIERZ.

Rano przed wyjściem do szkoły pani Orzecka zawołała Ninkę i rzekła:

— Córuś, masz tu 10 halerzy[1]) na ciasteczko.

Dziewczynka z zadowoleniem schowała pieniądz do portmonetki, którą na Boże Narodzenie dostała od cioci. Bardzo lubi mieć w niej pieniążki, a jeszcze bardziej kupować coś za nie. Ucieszona pobiegła do Ańdzi i poczęła jej opowiadać, że dziś sama sobie kupi ciasteczko. Ale Ańdzia ofuknęła ją niezadowolona.

— Masz się też czego cieszyć. Już niedługo ciastek wcale nie będzie, mąka podrożała, cukier także...

— To co, że podrożało? a ciasteczka zawsze po 10 halerzy — broniła się zmartwiona.

---

[1]) Drobna moneta austrjacka, mająca obieg w Małopolsce za czasów zaboru.

— Ale jakie maleńkie — rzekła pogardliwie Ańdzia — ot szkoda tylko pieniędzy.

Pomimo gderania Ańdzi ciasteczko, kupione w szkole, było bardzo smaczne, tylko rzeczywiście niezmiernie maluśkie. Dziewczynka z przyjemnością zjadłaby takich dwa lub trzy. W domu po obiedzie, kiedy Ańdzia, jak zwykle, postawiła deserowe talerzyki, pani Orzecka kazała je sprzątnąć.

— Schowaj, Ańdziu, te talerzyki. Ninka jadła ciasteczko w szkole, Jędruś miał na drugie śniadanie jabłuszko, a deseru dziś nie będzie.

Ninka ze zdumieniem spojrzała na matkę. Odkąd sięgnie pamięcią, zawsze po obiedzie było coś słodkiego. A teraz? Ninka nie rozumiała, co jest powodem tej nadzwyczajnej, jak się jej wydało, zmiany.

Była jeszcze małą dziewczynką i nie wiedziała, że kiedy żołnierze idą na wojnę, to pozostali w chatach starcy, kobiety i dzieci nie mogą tak obrobić pól, jak zwykle, i że zbiory są wtedy mniejsze. Stąd też, gdy w kraju wojna, niejednego zabraknie.

Tymczasem Ańdzia sprzątnęła talerzyki.

— Czy mogę wstać? — zapytała dziewczynka.

W domu był zwyczaj, że dzieciom nie było wolno wstawać od stołu bez pytania. Otrzymawszy pozwolenie, podziękowała mateńce i pobiegła do swego pokoju.

Lalki jeszcze dotąd leżały w łóżeczku.

— Trzeba je ubrać i choć na pół godziny wywieźć na spacer do stołowego — postanowiła i pospiesznie poczęła ubierać swoje dzieci. Zajmowało jej to zwykle sporo czasu, tembardziej, że toalety lalek pozostawiały wiele do życzenia. Dawniej opiekowała się niemi troskliwie mateńka, to jest kochająca babcia, ale od jakiegoś czasu pani Orzecka coraz mniej poświęcała uwagi zabawkom dzieci.

Ninka nie zastanawiała się nad tem, że mamusia, która zwykle dość wcześnie spać chodziła, teraz siaduje długo wieczorami i coś w pokoju ojca pisze i pisze. Niechby, sobie pisała, to nic nie szkodzi, ale niechby jednocześnie była wesoła. A tu tymczasem mama rzadko się uśmiechała. A przecież niedawno był list od Romka, który pisał, że nawet może niedługo do nich przyjedzie. Dopieroż to byłaby radość! Ojciec już tak dawno nie widział jej arytmetyczego zeszytu, nie wie, że już dzieli i mnoży przez trzycyfrowe liczby i że ćwiczenia pisze znacznie dłuższe, a nawet Jędrusia nauczyła już kilku liter. Łobuz rozpuścił się, nie słucha Ninki ani Ańdzi, trzebaby go do posłuchu doprowadzić,a i mateńka przestałaby być smutna i siadywać wieczorami.

— Dobrzeby zrobił Romek, gdyby teraz przyjechał — westchnęła, ale wkrótce myśli jej pobiegły w inną stronę.

Przypomniała sobie lalki i zamierzony

spacer. Już niedługo będzie ciemno, ale choć na krótko wyprowadzić je trzeba. Pobiegła więc do pokoju, gdzie pani Orzecka siedziała przy stole i coś prędko pisała.

— Mateńko, cały dzień piszesz i piszesz, przecież chyba nie list do Tatki?

— Nie — odpowiedziała matka — ale to też potrzebne.

— Mateńko, chodź ze mną i z Jędrusiem na spacer, już tak dawno nigdzie z nami nie chodziłaś.

— Nie mogę, dziecko, poproś Ańdzię, weźcie Jędrka i Łobuza i przejdziecie się, ale nie chodźcie do ogrodu, tylko po ulicy, bo w ogrodzie wilgoć, jeszcze nóżki przemoczycie.

Dziewczynka pobiegła do kuchni. Ańdzia właśnie zmywała po obiedzie, ale na prośbę dziewczynki ofuknęła ją zgorszona.

— Akurat, wieczór nadchodzi, a wam się spaceru zachciewa i jeszcze jego mamy brać ze sobą — wskazała palcem na Łobuza, który, spuściwszy ogon, z wielką pilnością wylizywał miskę, stojącą w kącie.

— Ańdziu, moja droga, moja kochana, tylko na chwilkę na jedną malutką chwileczkę, bo lalki tak dawno nie były na przechadzce.

— Lalki, lalki — mruczy Ańdzia, ale już łagodniejszym tonem — no, to dalej, bierz ścierkę i uwijaj się, pomagaj wycierać naczynie, bo inaczej nie pójdziesz.

Nince w to graj. Po chwili z rozmachem zaczyna wycierać talerze i ustawiać je na tacce, z którą potem Ańdzia zaniesie je do stołowego. Już wszystko gotowe.

— Jędrek, Jędrek! Ubieraj się, idziemy z Ańdzią na spacer — wołała na braciszka, który na środku dziecinnego pokoju ustawił sobie powóz z krzeseł i wywijał długim batem drewnianym koniem.

— Ja nie chcę iść na spacer ja zostanę z mamą. — Ja chcem jechać powozem na wojnę do Lomka — oświadcza malec.

— Mamo, mamo, on nie chce z nami iść — woła zmartwiona.

— To idźcie we dwie z Ańdzią — pociesza ją mateńka z drugiego pokoju, — po drodze wrzucicie listy.

Ninka lubi spacerować z Jędrkiem, ale jeszcze chyba przyjemniej chodzić bez niego. Malec daleko nie zajdzie, a przytem gapi się przed każdą wystawą i wszystko chce kupować. Po chwili Ańdzia zarzuciła chustkę i wzięła na smycz Łobuza, który piszczy z radości i skacze, jak szalony.

— Czy wziąć lalki? — myśli Ninka — już niedługo będzie ciemno, Zuzia ma katar i może się zaziębić, a Dodo tak niedawno chorował.

Tu spojrzała na swoją ulubioną lalkę w ślicznem ubraniu tyrolczyka, którą jej ciocia z Wiednia przywiozła.

— Oj, co tam, Jędruś nie idzie, to niech

i one siedzą w domu albo wiem co zrobią— krzyknęła, uszczęśliwiona z doskonałego pomysłu — poproszę go, żeby zabrał lalki powozem na spacer.

— Jędruś, — zaczyna słodkim głosem prosić braciszka—mam do ciebie wielką prośbę.

— A jaka wielka? — pyta filuternie chłopczyk.

— Jak wieża Marjacka — odpowiada poważnie siostrzyczka.

— O jej! To pewnie chcesz, żeby twoje lalki pojechały ze mną powzem na spacer.

— Ach, mój złoty — prosi dziewczynka— one już tak dawno nie wychodziły na świeże powietrze, przytem Zuzia ma katar, a Dodo dopiero niedawno wstał z łóżka, przecież to twoi siostrzeńcy, więc powinieneś ich kochać.

— Niech będzie — godzi się Jędruś, — wsadzaj je na tylne siedzenie, ale zapowiedz, żeby nie krzyczały, nie wychylały się, bo ja nie będę ich pilnował. Muszę uważać na konie, patrz, ile samochodów na ulicy — dodał, wskazując batem na porozstawiane po całym pokoju krzesła.

— Ależ naturalnie — uspakaja go dziewczynka — nie obawiaj się, choć Dodo bywa czasami niegrzeczny, to Zuzia, jako starsza siostrzyczka, potrafi go uspokoić. Dzieci, pojedziecie z wujaszkiem na spacer — zwróciła się do lalek, które przez ten czas grzecznie siedziały w wózeczku, wytrzeszczając

wielkie oczy i uśmiechając się różowemi buziami.

Ale przecież trzeba je ubrać.

— Ninka idziesz, czy nie idziesz? — pyta Ańdzia, wsuwając w tej chwili głowę przez uchylone drzwi, ściemnia się, a ty jeszcze nieubrana.

— Co tu robić? — myśli zafrasowana dziewczynka — lalki nieubrane i ja także nieubrana.

Nagle szczęśliwa myśl zaświtała jej w głowie, chwyciła szal mamuśki, leżący na łóżku i w jednej chwili obie lalki szczelnie otulone zajęły miejsce w powozie.

— No, dowidzenia, moje dzieci, bądźcie grzeczne, i nie naprzykrzajcie się wujkowi — upomina je surowo.

Teraz spokojnie może włożyć czapeczkę i płaszczyk i podskoczyć do Ańdzi, która już czeka w przedpokoju.

Wyszły na ulicę.

Był dżdżysty dzień jesienny. Deszcz nie padał, ale chodniki nasiąkły wilgocią. Snuli się po nich ludzie osowiali, milczący. Środkiem jezdni toczyły się gęsto wojskowe wozy. Między przechodniami spotykało się często austrjackich oficerów i żołnierzy. Kilka razy Ninka zauważyła legjonistów, raz nawet ujrzała czterech, maszerujących środkiem ulicy. Byli w płaszczach, z karabinami na plecach.

— Pewnie idą na wojnę — pomyślała — ale przecież oni mają karabiny, a Staś mówił, że dopiero będą musieli odebrać je Moskalom. Ciekawam, czy Romek też ma karabin, a czy musiał koniecznie zabić jakiegoś Moskala? Co to znaczy Moskal? Pewnie musi być podobny do tego czarnego Węgra, com go wtedy na ulicy widziała, jak się do szkoły spóźniłam.

Zamyśliła się głęboko.

— Staś mówił, że Moskale to tchórze, pewnie sami oddali karabiny i Romek nie potrzebował ich zabijać, bo przecież nie wolno nikogo zabijać. Tak mówi pani w szkole, tak uczy mateńka, a nawet w „Przykazaniach" modlę się: „Nie zabijaj!" Ale na wojnie podobno trzeba zabijać ludzi, tak opowiada Staś, ale czy to prawda?

— Łobuz! — zawołała na psa, którego Ańdzia puściła ze smyczy — bo wpadniesz pod samochód.

Pies przybiegł do dziewczynki i począł się łasić.

— Daj mi go, wezmę go na smycz — prosi dziewczynka — a ty weź lepiej listy pod chustkę, bo mi się jeszcze zamoczą.

— Właśnie zaczął padać deszcz.

— Chodź, pójdziemy je wrzucić na dworzec, będą prędzej — rzekła Ańdzia, chowając listy.

— Doskonale!

Dziewczynka nie była na dworcu od tego pamiętnego dnia, kiedy odprowadzała ojca. Przyspieszyły kroku, bo zmrok zapadł szybko.

— Już niedaleko — mówiAńdzia.

— Co to? Przed dworcem stoi szereg ciężarowych samochodów, okrytych płótnem, na którem zdaleka widać, jaskrawo wymalowane czerwone krzyże. Pierwszy samochód jest ztyłu otwarty. Dziewczynka widzi, jak dwóch ludzi w białych fartuchach wynosi z sali nosze, a na nich leży człowiek z obwiązaną głową. Twarz blada, nieruchoma, oczy zamknięte. Przykryty kocem aż pod brodę.

— Co to, co to? — pyta trwożnie, tuląc się do Ańdzi.

— Jak to, nie wiesz?—dziwi się służąca.— Ranny. Codziennie ich tu przywożą.

— Ańdziu, popatrzmy choć chwileczkę,— prosi dziewczynka. Ruszyć się nie może z miejsca. Nóżki jej, zda się, przyrosły do chodnika. Tymczasem ludzie postawili nosze tuż obok dziewczynki. W tej chwili ranny drgnął, podniósł powieki i Ninka ujrzała bladą twarz młodego chłopca i dwoje wielkich smutnych oczu pełnych cierpienia.

Wybuchnęła głośnym płaczem i wtuliła głowę w spódnicę Ańdzi.



— Wezmę go na smycz — prosi dziewczynka.

— Ninka, cicho! On nie umarł, on będzie zdrów — pociesza ją Ańdzia.

Dziewczynka usiłuje się uspokoić. Zaciska rączki, zagryza wargi. Chce raz jeszcze spojrzeć w oczy rannego, ale odwrócił zlekka głowę.

VI.

CHOROBA.

Tego samego dnia wieczorem pani Orzecka z niepokojem patrzyła na córeczkę, siedzącą przy stole. Choć mała starała się nie okazać, że coś jej dolega, czujne oko matki odrazu odgadło. twarzyczka zabarwiła się rumieńcami, a choć udawała, że kolacja bardzo jej smakuje, nie przełknęła nawet pół bułeczki.

— Córuś, co tobie? — zapytała z niepokojem.

— Nic, mateńko, główka trochę boli i apetytu nie mam, ale to nic, jutro będę napewno zdrowa, niech mamusia się nie martwi.

— Ja się nie martwię, ale idź do pokoju ojca i przynieś stamtąd termometr.

Dziewczynka posłusznie podniosła się z krzesła. Od pewnego czasu nie lubiła już tak, jak dwaniej. biegać do tego pokoju.

Łóżko teraz stało inaczej, a toaleta sta-

nowczo powinna była zostać na dawnem miejscu w dziecinnym pokoju. Tam jej brakowało, a tu zawadzała. Oto stała teraz w kącie blisko okna i zasłaniała je częściowo, a było to jej ulubione okno, na którem siadywała nieraz, wyglądając na ulicę, lub czytając książkę i czekając cierpliwie, aż się rozlegnie wesoły głos ojca.

— No skończyłam, chodź do mnie, maleńka!

Ninka wiedziała, że wtedy może zeskoczyć z okna i wdrapać się ojcu na kolana. Wtedy mogła go całować, głaskać po twarzy, pytać kolejno o każdą książkę rozłożoną na biurku, o każdy w niej obrazek.

A teraz przy biurku nikt nie siedzi i wszystko porządnie poukładane. Dziewczynka podeszła do okna i wyjrzała. Pada deszcz, latarnie wysyłają swoje zwykłe światło.

— Poco ja tu przyszłam? — przypomina sobie — aha, prawda, mama kazała przynieść termometr.

Opiera gorącą główkę o szybę. Jak to przyjemnie, ale trzeba iść. Otwiera szufladkę, wyjmuje termometr i niesie do stołowego. Mama siedzi przy stole, Jędruś już skończył jeść i ziewa zapamiętale.

— Mamuś, ja chcem spatki — prosi pieszczotliwie, przechylając się przez krawędź fotelika.

— Andziu, rozbierz Jędrka — woła mama. W tej chwili weszła Ninka i podała termometr. Pani Orzecka z niepokojem wzięła ją za rękę.

— Widzę, że jesteś rozpalona, chodź, sama cię rozbiorę i położę do łóżka.

To mówiąc, podniosła się z krzesła.

— Mateńko, ale ja nie jestem chora — broni się słabym głosem dziewczynka, ja nie chcę kłaść się do łóżka, jutro mamy wypracowanie w szkole.

— Przecież już jest wieczór, więc i tak musisz się położyć — tłumaczy mamusia, — a do jutra możesz zupełnie wyzdrowieć.

— Potrzebnie chodziła na ten spacer — mruczy z kąta Andzia, zapamiętale szorując Jędrka w dużej miednicy pełnej wody. — Przestraszyło się dziecko, a teraz choroba i tyle.

Ninka nie odzywa się, tylko klęka do pacierza, mówi: „Ojcze Nasz", „Zdrowaś", a już dalej nie może.

Boże daj zdrowie mamusi, Romkowi...

— Mamo ja już się położę — prosi słabym głosem.

— Kładź się, kładź, dokończysz później paciorek.

Pani Orzecka przybiega do dziewczynki, pomaga jej rozpiąć sukienkę, zdejmuje staniczek i kładzie nocną koszulkę.

Ninka z przyjemnością wyciąga się w łóżeczku, poduszka jest taka chłodna, chętnie przytula do niej rozpaloną twarzyczkę.

— Mamo, wody, — szepcze cicho.

— Zaraz Ańdzia przyniesie ci herbatki z cytryną.

Niebawem, napojona herbatką i okryta ciepło Ninka zasypia. Powieki ciężkie, same się zamykają. Pani Orzecka wyjmuje termometr.

— 38,5 — mówi do siebie z niepokojem.— Boże, żeby Romek nareszcie przyjechał...

— — — — — — — — —

Jest noc, Ninka otworzyła oczy. Cicho wokoło. Ze stołowego dochodzi miarowe cykanie zegara, Jędrek oddycha równo i głęboko. Dziewczynce jest dobrze i ciepło, trochę trudno oddychać, ale to przecież jeszcze nie choroba. Usiadła na łóżku i usiłuje przypomnieć sobie zdarzenie dnia poprzedniego.

— — — — — — — — —

— Gdzie jest?

Oto idzie z Ańdzią jakąś ulicą, dużo na niej ludzi, a środkiem maszeruje wojsko. Ciekawam, czy to Austrjacy, czy Strzelcy— myśli napół sennie dziewczynka. Wszyscy żołnierze mają papierowe czapki z pióropuszami i kije zamiast karabinów. Ale jest ich dużo, dużo i bardzo się śpieszą. Idą na wojnę bić się z Moskalami i zabrać im karabiny.

Po chwili obraz się zmienia. Jest w stołowym pokoju. Jędruś stoi na parapecie okna i pokazuje coś przez szybę. Ninka zbliża się

A ona leży teraz samiutka jedna. Aúdzia sprząta w kuchni, a ona jest sama. Coprawda to nawet cieszy się z tego, że nikogo przy niej niema, może swobodnie myśleć, nikt jej nie przeszkadza.

— Dlaczego ojciec musiał pojechać? Ale prawda. Ona jest zuch i będzie robić wszystko jak najlepiej, byleby tylko Tatko, pochwalił ją, jak wróci. Ale kiedy też wróci? Pewnie dopiero na Boże Narodzenie. Na Boże Narodzenie to napewno przyjedzie, bo jakże choinka może odbyć się bez niego? Któż pójdzie wybierać drzewko? Przecież to wcale niełatwo! Musi być gęste i zgrabne, ani za duże, ani za małe. A kto będzie zawieszał ozdoby na wyższych gałązkach? Na niższych Ninka da sobie sama radę, ale tam wysoko?

Niema się czego martwić, napewno przyjedzie i to już niedługo, za jakie półtora miesiąca. Oho, już pada śnieg! Spojrzała w okno. Z szarego jednostajnego nieba sypały się delikatne płateczki śniegu. Pierwszy śnieg!

— — — — — — — — —

Ninka usiadła na łóżeczku i ukryła twarzyczkę w dłoniach. Daremnie chce odpędzić smutne myśli, które opadły ją ze wszystkich stron.

Nagle w przedpokoju rozlega się dzwonek i dziewczynka słyszy kroki biegnącej szyb-

ko Ańdzi. Po chwili dochodzi ją głos Jędrusia, który coś szeroko opowiada, a Łobuz zaśnieżony, cały mokry wpada w podskokach do pokoju.

Dziewczynka zawołała na niego.

Pies przybiegł i położył mokry łeb na kołderce.

— Łobuz, Łobuśisko, powiedz, jak tam było na dworcu?... — szepcze mu do ucha, gładząc rączką mokry łeb psa. Napewno ojciec pogłaskał go na odjezdnem — myśli, tuląc twarzyczkę do mokrej szerści.

— Jędruś, chodź prędzej, opowiedz mi wszystko — woła niecierpliwie.

Jędruś wbiegł do pokoju.

— No i co? — pyta ciekawie...

— Romek pojechał takim wagonem, gdzie siedzieli sami żołnierze i stały konie — woła Jędruś. — Wiesz, w wagonie stały konie, sam widziałem. Jak one się nie poprzewracają, kiedy pociąg ruszy? Dziwił się malec— a jeden był taki śliczny, miał białą strzałkę na głowie, to napewno będzie dla Romka.

— A gdzie mama — zapytała Ninka, aby przerwać jego gadanie.

Przecież ona dobrze wie, że Romek służy w piechocie, to na koniu jeździć nie będzie. Że też ten Jędruś nigdy nic porządnie opowiedzieć nie umie.

— Mamusia poszła do sklepu i zaraz wróci — odparł chłopczyk, odbiegając do swego konia, który stał w kącie, nosem obrócony



...przyciągnąwszy konia do łóżeczka, stanął przed siostrzyczką.

do ściany, tak, że widać było tylko krótki i mocno wyszczypany ogon.

— Jędruś chodźno do mnie! — zawołała poważnie.

— Kiedy nie mam czasu. Widzisz, że zaraz pojadę na wojnę pomagać Romkowi, bo mam nawet podobnego konia, tylko szablę muszę znaleźć, gdzieś mi się podziała — mówiąc to, wlazł cały pod łóżko, tak, że mu tylko pięty widać było.

— Ale chodź do mnie, mój kochany, chodź na chwileczkę, mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia.

Jędruś już znalazł zgubioną szablę, więc, przyciągnąwszy konia za uzdę do łóżeczka, stanął przed siostrzyczką.

— Słuchaj tylko uważnie, bo masz już prawie sześć lat, więc powinieneś być trochę mądrzejszy.

— No, co, mów prędko, przecież widzisz, że zaraz jadę konno na wojnę.

Widzisz, teraz musisz być bardzo grzeczny, bo Romek nieprędko przyjedzie, dopiero na Boże Narodzenie. Mateńka pracuje, Ańdzia też ma dużo zajęcia, więc ja będę się tobą opiekować, ale będziesz grzeczny i będziesz mnie słuchać — pogroziła mu poważnie paluszkiem.

— A ja nie chcem — odparł chłopiec, — ja nie będę ciebie słuchać, bo słuchać trzeba tylko mamy i Ańdzi.

— Ależ, Jędrusiu, musisz się mnie słuchać,

bo jestem starsza i od ciebie mądrzejsza, a przytem Romek kazał mi się tobą opiekować.

Ten argument poskutkował.

— No, dobrze, dobrze, ale będziesz mi głośno czytać, wiele razy zechcę, targował się jeszcze Jędruś.

— Zgoda. Przynieś zaraz jakąś książkę, to ci poczytam.

Malec z ochotą, zapalił lampę i przyniósł z półki kilka swoich ulubionych książeczek. Potem usiadł na stołeczku tuż obok łóżeczka siostrzyczki i, nadstawiwszy uszki, począł pilnie słuchać ślicznej bajeczki o „Janku Wędrowniczku“, którą umiał prawie na pamięć, ale która mu się najbardziej podobała.

Siedzieli tak oboje zaczytani, kiedy drzwi się otworzyły i do pokoju weszła mama. Oczy miała zlekka zaczerwienione, twarz bladą, ale uśmiechem powitała dzieci.

— Siedźcie, czytajcie sobie, a ja pójdę pisać — powiedziała, gdy córeczka wyciągnęła ku niej ręce.

Ninka właśnie skończyła bajeczkę i miała ochotę poczytać coś dla siebie, ale Jędruś począł ją prosić, aby raz jeszcze powtórzyła ją od początku. Bez słowa, cierpliwie rozpoczęła na nowo.

Oto tu przed wami stoi
Podróżniczek Janek mały...

VIII.

BOŻE NARODZENIE.

Już się lekcje skończyły. Ostatniego dnia pani rozdała dzieciom cenzurki. Ninka miała wszystkie stopnie „dobre“ i „bardzo dobre“, a więc nawet z arytmetyki udało jej się tym razem. Wracała z Kazią do domu, ale nie śmiała się i nie cieszyła, jak zwykle.

— Co ci to? dlaczegoś taka smutna? — zapytała Kazia, gdy już miały się rozstawać przed domem.

— Bo widzisz, pewnie ojciec nie zdąży do nas na choinkę — odrzekła cicho Ninka.

— Ale, nie martw się, jeszcze dwa dni, może jeszcze przyjedzie.

— Nie, napewno nie przyjedzie, już ja dobrze wiem. Wczoraj był list, a mamusia nie chciała nam powiedzieć, co w nim było i zrobiła się strasznie smutna.

— Eh, pewnie ci się zdawało.

— Nie, nie zdawało mi się...

Ucałowawszy Kazię Ninka poczęła wolno wchodzić po schodach na górę. Pamięta zeszłoroczną choinkę, kiedy ojciec przyszedł po nią do szkoły i wracali razem, trzymając się za ręce i gwarząc radośnie o świętach, o szkole, o choince, o niespodziankach. A dziś...

Zatrzymała się. Była jakaś zmęczona, więc przysiadła na stopniu i, ukrywszy twarzyczkę w dłoniach, zadumała się głęboko. Jak to będzie z wilją? a choinka? Kto to wszystko urządzi? Mama stale zajęta, Andzia także. A Jędruś? On przecież musi mieć choinkę, już teraz się cieszy.

— Trzeba coś zrobić — postanowiła.

Podniosła się i raźniejszym już krokiem poszła na górę. Jędruś, jak zwykle, siedział z Andzią w kuchni, a mama pisała w pokoju ojca. Ninka zdjęła płaszczyk, położyła teczkę na krześle, i poszła do matki.

— Matuś, przyniosłam ci cenzurkę.

— Pokaż.

Pani Orzecka przebiegła oczyma szereg ocen ślicznie i równiutko wypisanych: „dobrze, bardzo dobrze, dobrze, bardzo dobrze“.

Uśmiechnęła się, pogładziła córeczkę po główce i ucałowała.

— Śliczna cenzurka. Trzeba ją będzie posłać Romkowi na front.

— Matuś, to on nie przyjedzie do nas na święta?

— Nie przyjedzie, malutka, właśnie posyłam mu opłatek i paczkę, bo jest okazja.

— No, a jakże będzie z choinką?

— Z choinką...—zamyśliła się pani Orzecka. — Widzisz, jabym najchętniej wcale nie urządzała choinki, a na wilję jesteśmy zaproszeni do rodziców Kazi. Pójdziecie oboje z Ańdzią, a ja zostanę w domu.

— Matuś, matuś, ja tak nie chcę! Ja urządzę choinkę dla ciebie i Jędrusia. Daj mi choć troszkę pieniędzy, kupię drzewko, ubiorę je i będziemy razem w domu — prosiła Ninka.

Pani Orzecka odwróciła głowę i po chwili odezwała się trochę drżącym głosem.

— A jakaż to będzie choinka bez ojca?

— Będzie. Postawimy na stole fotografję Romka, wiesz, tę dużą i napiszemy razem do niego list, to jakby był z nami. Zobaczysz, jak ja to wszystko ładnie urządzę.

Pani Orzecka uśmiechnęła się blado.

— No, dobrze, dam ci pieniądze. Pójdziesz zaraz z Ańdzią, wybierzesz choinkę, tylko niewielką, potem kupicie trochę słodyczy. Lichtarzyki, świeczki i zabawki są jeszcze zeszłoroczne, to pewnie wystarczy.

Ninka uszczęśliwiona wybiega z pokoju. Naturalnie, że musi być choinka. A nuż, a nuż ostatniego dnia przyjedzie Romek! Coby to było, gdyby nie zastał choinki? Pobiegła szybko do kuchni, odciągnęła Ań-

dzię na bok tak, aby Jędruś nie słyszał i zaczęła jej szeptać tajemniczo do ucha.

— Ańdziu, Ańdziu prędko, pójdziemy po chinkę dla Jędrusia i mamusi. Kupimy drzewko i karmelków.

Ańdzia pokiwała głową, ale bez gderania wzięła chustkę, pomogła ubrać się Nince i poszły. Chociaż słońce nie świeciło, chodniki zupełnie obeschły, bo lekki przymrozek ściął błoto. Na ulicach snuło się mnóstwo ludzi, wędrujących od sklepu do sklepu.

Ninka z Ańdzią skierowały się szybko w stronę placu, gdzie zawsze stały drzewka na sprzedaż. Po chwili obie znalazły się w pachnącym lesie świerkowym. Dziewczynce znowu zrobiło się smutno, bo zapach drzewek żywo przypominał jej zeszłoroczne święta, kiedy to z ojcem błądziła po takim samym zielonym lesie. Na wąskich uliczkach pomiędzy gęsto ustawionemi drzewkami chodzili kupujący: starsi i dzieci. Choinki stały rzędami, w milczeniu, jakby z niepokojem oczekując swego losu.

— Komu się dostanę? — myślała zapewne każda z nich, bojaźliwie szeleszcząc gałązkami.

Dziewczynka z ciekawością przyglądała się ślicznym drzewkom. Nagle radośnie zawołała:

— Nianiu, patrz jaka gęsta i zgrabniutka choinka, chodźmy, zapytajmy się wiele kosztuje.

— Ta napewno za droga, nie masz tyle pieniędzy — odradzała Ańdzia.

— Zapytajmy się, chociaż się zapytajmy! — upierała się dalej.

Drzewko było rzeczywiście za drogie, bo człowiek, który je sprzedawał, zażądał tyle pieniędzy, wiele mama na wszystkie sprawunki razem przeznaczyła.

Nince żal było odchodzić od ślicznego drzewka, więc podniosła błagalnie oczki na sprzedającego i poczęła prosić:

— Niech pan nam sprzeda tę choinkę, ta będzie akurat dla Jędrusia, a jak tatuś przyjedzie, to i jemu też będzie się napewno podobać. Tatuś teraz na wojnie, ale może przyjedzie.

Człowiek w kożuchu uśmiechnął się i rzekł:

— Dobrze, kiedy twój tatuś na wojnie, to już weź sobie tę choinkę.

Ninka uradowana spojrzała na niego z wdzięcznością. Ańdzia wyjęła z kieszeni pieniądze i poczęła liczyć na ręku. Pan w kożuchu zgarnął je do kieszeni a drzewko odstawił na bok.

Potem poszły jeszcze po jabłuszka i cukierki i wróciły po choinkę.

— Moje ty śliczne, — szeptała dziewczynka do choinki — zobaczysz, jak cudnie będziesz wyglądać, gdy cię ubiorę.

Ańdzia szła przodem, niosąc drzewko na ramieniu, dziewczynka w tyle dźwigała

paczki. Tak doszły do domu. No, ale jak zrobić żeby Jędruś przed czasem nic nie zobaczył?

— Słuchaj, Ańdziu, — rzekła dziewczynka — zostań na dole, a ja pójdę pierwsza i zabawię go w stołowym. Ty przez ten czas zaniesiesz drzewko do pokoju mamy i zamkniesz na klucz drzwi od dziecinnego.

Ańdzia zgodziła się, i Ninka szybko pobiegła na górę. Niestety niewszystko się udało. Jędruś w żaden sposób nie chciał iść do stołowego. Ninka radą nierada musiała mu odkryć tajemnicę i przypuścić do ubierania drzewka.

Wobec tego, że już nie trzeba było ukrywać niespodzianki, Ańdzia przeniosła drzewko do stołowego i wydobyła z szuflady zeszłoroczne ozdoby.

— Co roboty, co roboty — myślała zafrasowana dziewczynka, oglądając je uważnie. — Tu brak niteczki, tam rozerwany łańcuch, gdzie indziej aniołek gubi skrzydełko. A to już jutro wilja!

Wzięła się odrazu do roboty. Ańdzia zrobiła dzieciom kleju z mąki, mama dała różnokolorowej bawełny i oboje z zapałem zabrali się do dzieła. Coprawda z chłopczyka niewiele było pożytku, bo robota nie szła mu zbyt zgrabnie. Siostrzyczka starała mu się pomagać, wreszcie dała za wygraną.

— Niech się trochę pobawi, a ja sama zrobię resztę, — zdecydowała.

Do wieczora pracowała bez wytchnienia, a gdy Ańdzia przyniosła kolację, wszystko już było skończone i gotowe do zawieszania.

IX.

WILJA.

Nadszedł wieczór wigilijny. Pani Orzecka uległa prośbom córeczki i odpisała rodzicom Kazi, że dzieci na choinkę przyjdą dopiero w pierwsze święto, a wilję spędzą w domu. Prosiła jednak Ninkę, by ją we wszystkich przygotowaniach wyręczyła, tłumacząc córeczce, że nie ma czasu tem się zająć.

Dziewczynka zgodziła się chętnie, byle tylko wilję spędzić w domu. Ciągle bowiem spodziewała się, że może, może choć w ostatniej chwili ojciec przyjedzie. Cały ranek przy pomocy Jędrusia ubierała choinkę; z dolnemi gałązkami nie było kłopotu, a na górnych Ańdzia szybko porozwieszała ozdoby, które jej dzieci podawały. Niebawem drzewko było ślicznie ustrojone.

Gdy zaczęło się ściemniać, dziewczynka nakryła do stołu, na talerzyku położyła opłatki, a pod drzewkiem ukryła niespo-

dzianki, które od paru miesięcy przygotowywała w szkole na lekcji robót. Mateńka miała dostać haftowaną serwetkę, Jędruś podklejonych na tekturze żołnierzy, Ańdzia obrębione chusteczki do nosa, a tatuś? Dla niego była cenzurka, to najlepszy prezent.

Tymczasem ściemniło się zupełnie. Ninka z dumą spojrzała na swoje dzieło: stół ładnie nakryty, a choinkę tylko zapalić. Dziewczynka podeszła do okna, złożyła rączki i podniosła oczy w górę. Tam wysoko, na niebie zabłysła między chmurkami ledwie dostrzegalna pierwsza gwiazdka. Ninka spojrzała ku niej błagalnie.

— Gwiazdeczko, gwiazdeczko złocista, ty tak blisko jesteś Boga, wstaw się, by Romek przyjechał, żeby zaraz przyjechał do nas...

Zapomniała gdzie jest, cała jej duszyczka topiła się w tej prośbie, w tem jednem marzeniu. Przymknęła oczy i poczęła nadsłuchiwać. Jeżeli Bóg wysłucha jej prośby, to teraz powinien odezwać się dzwonek, teraz w tej chwili. Czekała tak czas jakiś w milczeniu. Głęboka cisza zaległa wokół, nawet odgłosy ulicy zamilkły.... Nic...

I wtedy zrozumiała, że ojciec nie przyjedzie, że będą sami tego wieczoru! Pochyliła główkę na piersi i zamyśliła się, bo chciała znaleźć odpowiedź na dręczące pytanie:

— Dlaczego, dlaczego?

Widocznie tak trzeba. Romek wytłumaczyłby jej napewno gdyby był, ale i tak po-



Cały ranek przy pomocy Jędrusia ubierała choinkę.

wie jej wszystko, jak wróci. Tymczasem trzeba iść do mateńki i zapalić choinkę. Odeszła od okna już zupełnie spokojna. Zajrzała do kuchni, zapytałaAńdzi, czy wszystko gotowe, a potem weszła do pokoju matki.

— Matuś, chodź do choinki, trzeba ją zapalić —szepnęła jej do ucha.

Pani Orzecka leżała na łóżku z oczami utkwionemi w sufit.

— Zaraz, zaraz, kochanie.

Podniosła się ciężko, poprawiła włosy i, wziąwszy Ninkę za rączkę, udała się do stołowego. Niebawem choinka zamigotała licznemi światełkami. Dziewczynka wróciła do toalety, zabrała stamtąd fotografję ojca i postawiła ją na stole tak, aby mógł widzieć płonące drzewko.

Potem pobiegła po Ańdzię i Jędrusia. Chłopczyk wbiegł do pokoju i stanął pełen zachwytu przed drzewkiem.

— Ach, jakie śliczne, jakie śliczne! — wołał. — I żołnierze są, i żołnierze! — krzyknął radośnie, rzucając się na tekturowe pudełko. Mamusia ogląda serwetkę, Ańdzia ociera łzy nowemi chusteczkami, a Ninka utkwiła oczy w twarz ojca, patrzącej ku niej z fotografji. I nagle zrobiło jej się dziwnie lekko na sercu. Chwyciła opłatek i pobiegła z nim do matki...

Ańdzia wniosła wazę z dymiącą zupą rybną. Pani Orzecka z dziećmi zasiadła do

stołu. Ninka umieściła fotografję ojca na miejscu, które zwykle zajmował i sama siadła naprzeciw.

Tak rozpoczęła się wieczerza wigilijna. Była kapusta z grzybami, ryba i mak z ciasteczkami, ulubiony przysmak Jędrusia. Nawet Łobuz, jakby rozumiejąc uroczystą chwilę, przysiadł spokojnie na tylnych łapach, podniósł do góry mądre oczy i czekał cierpliwie na swoją porcję.

— Mamo, a co Łobuz dostał na gwiazdkę? — zatroskał się nagle Jędruś.

— A widzisz, Ninko, zapomniałaś o Łobuzie! — rzekła mama.

— Prawda, prawda — zmartwiła się dziewczynka, trzeba koniecznie coś dla niego obmyślić, ale co?

— Już wiem — triumfująco zawołał Jędruś — ja wiem, z czego on się ucieszy. Dajmy mu całą kiełbasę, on tak lubi nawet skórkę od kiełbasy, dopiero się ucieszy, gdy dostanie taki wielki kawał.

Ale mama nie zgodziła się na ten projekt, mówiąc, że teraz jest tylu ludzi głodnych, że grzechem byłoby psa karmić mięsem. Wobec tego Jędruś kazał Łobuzowi usiąść na krześle i dzielił się z nim wszystkiemi daniami po kolei. Nie każde coprawda smakowało Łobuzowi, ale chłopczyk pilnował, aby spróbował wszystkiego, tłumacząc z ożywieniem:

— Widzisz, mamusiu, on nic nie dostał na gwiazdkę, to niech choć wilję zje porządnie — a potem, nachyliwszy się do ucha swego ulubieńca, szepnął tajemniczo:

— Pamiętaj, Łobuz, jak się wojna skończy, a ja urosnę, to ci taką kiełbasę na choinkę kupię, że ci wszystkie psy z całej ulicy pozazdroszczą!

— — — — — — — — —

X.

KONIEC CHOINKI.

Już po Bożem Narodzeniu! Choinka stoi jeszcze w stołowym pokoju, ale wszystkie przysmaki, któremi była ozdobiona już dawno zjedzone, a z gałązek osypują się gęsto zielone igiełki. Ańdzia niezadowolona, musi je zamiatać, a mimo to podłoga ciągle zaśmiecona. Dzieciom żal jest drzewka i proszą mateńkę, by choć dzień jeden jeszcze pozwoliła je zostawić. Mamusia ulega tym prośbom, więc Ańdzia mruczy i mruczy. Wobec tego Ninka postanawia sama zamiatać pod choinką. Szczotka jest ciężka i praca ta idzie jej niezgrabnie. Nince jest przykro, że choinka z dnia na dzień brzydnie i traci igiełki. Nareszcie zapadł ostateczny wyrok. Nazajutrz dzieci mają zdjąć z drzewka wszystkie ozdoby, a Ańdzia porąbie je na ogień. Jędruś prosił Ańdzię, aby choć jeden porządny patyk pozostawiła mu na pamiątkę.

— To będzie bat, pamiątkowy bat z takiej ślicznej choinki, — mówił sobie na pociechę.

Wieczorem, jak zwykle oboje położyli się spać. Ninka, zmówiwszy pacierz, poczęła prosić mateńkę, by do niej przyszła. A kiedy pani Orzeczka usiadła przy jej łóżeczku, zapytała:

— Matuś, powiedz mi, dlaczego nasze kochane drzewo już koniecznie jutro musi zginąć?

— Musi, malutka. Przecież już wtedy, gdy kupowałaś je na rynku, było na ten los skazane.

— A dlaczego?

— Bo już wtedy siekiera odcięła je od korzeni, i żadne ludzkie starania nie potrafią mu życia przywrócić.

— A teraz już śpij — dodała, całując córeczkę w czoło. — Słyszysz, jak Jędruś chrapie?

— Jakoż z przyległego łóżeczka dochodził równy oddech chłopczyka, który zasnął słodko, marząc zapewne o nowym bacie, jaki mu Andzia wytnie z choinki. Gdy mateńka odeszła do swego pokoju, Ninka zamyśliła się głęboko nad tem, co usłyszała.

— Jutro od samego rana pójdę pożegnać się z drzewkiem — postanowiła.

Ale jakież były jej zdziwienie, kiedy nazajutrz rano pobiegła do stołowego pokoju i drzewka tam już nie znalazła. Krzesła, ustawione dawnym zwyczajem pod okna-

mi, czysto zamieciona podłoga nie zdradzały zupełnie, żeby wogóle kiedykolwiek tu stało. Kto je sprzątnął tak cichutko, że ona nie słyszała, kto zabawki pochował? Pobiegła do pokoju mamy, która leżała jeszcze w łóżku.

— Mateńko, gdzie drzewko? — zawołała już na progu.

— Gdzie mój bat? — piszczał Jędruś, pośpiesznie zapinając ubranko.

— Moje dzieci — odrzekła mamusia — obie z Áńdzią sprzątnęłyśmy je wczoraj, aby wam oszczędzić tej przykrości.

— A mój bat? — zaczął znowu Jędruś, który zdążył się zapiąć.

— Idź do kuchni. Pewnie Áńdzia nie zapomniała o nim — odparła mama.

Chłopczyk po chwili wrócił z ładnie ostruganym patykiem w rączce.

— To ci bat, będzie chyba na cztery konie — wołał radośnie, wywijając na wszystkie strony. — Chodź, Ninka, zaprzęgniemy duży wóz i pojedziemy po siano na łąkę.

Dziewczynka zgodziła się. I niebawem na środku dziecinnego pokoju stanął wspaniały czterokonny wóz, zbudowany ze wszystkich krzeseł. Jędruś wywijał batem nad dzielną czwórką koni. Na wozie zasiadła Ninka z lalkami. Jechali po siano, stojące w stogu pod lasem, czyli aż po drugiej stronie stołowego pod oknem. Sporo więc czasu upłynęło, zanim wóz przysunął się aż

do tego miejsca. Kilkakrotnie dzieci musiały schodzić i pomagać koniom, które nie mogły uciągnąć. Na łące było bardzo przyjemnie. Rozłożony na ziemi grupy pled zachęcał do spoczynku. Zdjęte z okna kwiaty w doniczkach dawały złudzenie gęstwiny leśnej. Zachwycone lalki wcale nie chciały wracać. Przewidująca mamusia miała dla nich przygotowane drugie śniadanie w koszyczku. Dopiero Ańdzia, przerwała zabawę, mówiąc, że musi sprzątać stołowy.

Ninka już dawno pragnęła zrobić porządek w swojej szafce, a Jędrusiowe zabawki na półce gwałtem się tego domagały.

— Jędruś, będziesz mi pomagał, zrobimy porządek w całym dziecinnym pokoju — postanowiła dziewczynka.

Malec, choć niechętnie, wyprzągł konie, odprowadził je do stajni i oboje zabrali się do roboty.

Najtrudniej było z książkami. Dzieci miały ich dużo, większych i mniejszych, z obrazkami i bez obrazków. Niektóre w okładkach trzymały się dobrze, inne rozsypywały się prawie. Weszła do pokoju pani Orzecka. Na widok stosu książek i smutnego ich wyglądu, zawołała:

— Każę Ańdzi zrobić kleju i weźmiemy się do podklejania książek. Musimy to porządnie zrobić, żeby żadnej kartki nie brakowało.



Jechali po siano...

— Poco wszystkie, mateńko, ot tę naprzykład — mówiła dziewczynka, pokazując książeczkę „O kocie w butach“ — Jędruś umie napamięć i słuchać już wcale nie chce.

— To nic. Oddamy ją biednym dzieciom, które nie mają książeczek i sprawimy im radość.

Mateńka z dziećmi zasiadła do klejenia, a Jędruś, choć miał szczery zamiar im pomagać, musiał jednak zaraz nakarmić swoje konie po długiej drodze.

— A nuż zdechłyby z głodu? — tłumaczył poważnie siostrzyczce.

XI.

JUŻ NIE PÓJDĘ WIĘCEJ DO SZKOŁY.

Ninka jeszcze dobrze nie rozumie, jak się to wszystko stało. W czwartek miały zacząć się lekcje; umówiła się nawet z Kazią, która obiecała po nią wstąpić, aby wspólnie iść wcześniej do szkoły i założyć na stole czyste bibuły. Tymczasem wczoraj mateńka zawołała ją do siebie, a gdy weszła, wzięła ją za obie rączki i patrząc pilnie w oczy rzekła:

— Córuś kochana, zastanów się dobrze, zanim mi odpowiesz.

Dziewczynka spojrzała pytająco na matkę.

— Wiesz, że teraz jest wojna i że wszystko drożeje z dnia na dzień. Już wam nie mogę dawać nic słodkiego po obiedzie. Nowy kłopot spadł mi na głowę. Mam do wyboru: albo oddalićAńdzię, której trafia się posada w szpitalu i wziąć służącą przy-

chodnią na kilka godzin, albo odebrać ciebie ze szkoły, która bardzo drogo kosztuje. Nie bój się, dziecinko, ja sama uczyć cię będę. Jeżeli byłabyś pilna i uważna, to od nowego roku szkolnego mogłabyś zdać do pierwszej gimnazjalnej. Toby się ojciec ucieszył — dodała wesoło — a do Jędrusia też musimy się obie zabrać. Taki duży chłopczyk, trzeba go już zacząć uczyć czytać.

Dziewczynka słuchała z największem zdumieniem. Z początku nie rozumiała, co mama mówi. Wkońcu zapamiętała jedno: oto ona ma już nie chodzić do szkoły, nie widywać się z koleżankami, ani z nauczycielkami, nie gimnastykować się, nie rysować, nie robić ślicznych robótek... W główce jej pomieścić się to nie mogło. Patrzyła na matkę szeroko otwartemi oczyma i nic nie odpowiadała. Pani Orzecka uśmiechnęła się smutno i rzekła:

— Widzę, że ci ogromną przykrość sprawiłam. Wobec tego oddalę Ańdzię, a ty będziesz nadal chodziła do szkoły.

I teraz jeszcze dziewczynka nic nie odpowiadała. Pani Orzecka podniosła się z miejsca i podeszła do stołu, na którym leżały przybory do pisania.

— Muszę napisać Ańdzi świadectwo, bo dziś ma dać odpowiedź, czy pójdzie do szpitala. Muszę się też zaraz umówić z dozorczynią, aby przychodziła nam sprzątać.

Ninka teraz dopiero poruszyła ustami, jakby coś chciała odpowiedzieć, ale nie rzekła nic.

— Jędrusiu, idź do kuchni po Ańdzię — rzekła matka.

Chłopczyk posłusznie podniósł się z miejsca:

— Ańdziu, chodź do mamy! — wołał, biegnąc w podskokach do kuchni.

Po chwili do pokoju weszła Ańdzia z odwiniętemi rękawami, bo właśnie prała.

— Moja Ańdzie, — zaczęła pani Orzecka, — namyśliłam się i nie widzę innej rady, tylko musisz zgodzić się do tego szpitala.

— O mój Boże! — zawołała Ańdzia, podnosząc fartuch do oczu, — jak to może być, a dyć się pani zamęczy! A kto dzieci dojrzy, kto mieszkania upilnuje, kto upierze?

Mama uśmiechnęła się.

— Ha, trudno, wojna to nie żarty. Jak pan przyjedzie, to i ty wrócisz do nas, ale teraz już musi tak być. Zresztą w szpitalu dostaniesz większą pensję i głodu nie zaznasz.

— Oj, wolałabym być głodna — jęknęła Ańdzia, zanosząc się od płaczu, — ale cóż robić, jak mnie pani już widać nie chce.

— Nie, Ańdziu, nie to że nie chcę, tylko nie mogę, zrozum to, moja kochana, tłumaczyła cierpliwie pani Orzecka.

Lecz w tej chwili Ninka, przypatrująca się dotąd w milczeniu tej scenie, podbiegła

nagle do Ańdzi, zarzuciła jej ręce na szyję i głośno zawołała:

— Ańdziu, nie odejdziesz od nas. Ja nie będę chodziła do szkoły, ale ty zostaniesz i będziesz pilnowała Jędrusia, prała, gotowała i nie pójdziesz do szpitala., prawda, mamusiu?

Ańdzia, nie rozumiejąc nic, zkolei wytrzeszczyła oczy.

— Prawda, Ańdziu, nie odejdziesz — potwierdziła mama. Nie mogę jednocześnie posyłać Ninkę do szkoły, i tobie płacić pensję, ale jeżeli ona woli ciebie niż szkołę, to zostaniesz u nas.

— Moja ty perełko kochana! — wybuchnęła znowu płaczem Ańdzia.

Ninka uśmiechnięta pobiegła więc do matki i poczęła szybko mówić:

— Mateńko, ja się wcale nie martwię. Ty mnie będziesz uczyła i zobaczysz, jak to dobrze pójdzie. Napewno zdam do pierwszej gimnazjalnej i Jędrusia obie nauczymy czytać. A jak Romek przyjedzie, to się dopiero ucieszy!...

Popołudniu, kiedy Ańdzia prała w kuchni, a mama wyszła na miasto, w stołowym na otomanie zasiadła Ninka z Jędrkiem.

— Słuchaj, Jędruś, czy ty rozumiesz, że teraz jest wojna? — zapytała go poważnie.

— To i co?

— Ja nie będę już chodziła do szkoły, bo mamusia nie może za mnie tak drogo pła-

cić. Będę się uczyła w domu, ale i ty też musisz się uczyć i być grzecznym i posłusznym. Nauczę cię czytać, aby tatce zrobić niespodziankę, jak z wojny wróci.

— Doskonale, — klaskał w ręce uszczęśliwiony Jędruś.

— No, to idź, przynieś z szafki elementarz, ten mój z obrazkami.

Jędruś pobiegł. Niebawem w dziecinnym pokoju oboje zabrali się do pracy.

— Jędruś, to jest l, l... rozumiesz? a to a, a teraz czytaj la — mówiła Ninka.

— La — powtórzył chłopczyk.

— A teraz jeszcze raz l...a...l...a...

— Lala — zawołał triumfująco.—Już, już umiem czytać, już umiem!

— Jeszcze nie umiesz, ale się prędko nauczysz, jak będziesz pilny — rzekła Ninka.

XII.

MAMA CHORA!

W domu jest bardzo smutno. Mateńka od kilku dni leży w łóżku. Wczoraj była ciocia Mania i sprowadziła lekarza. Gdy pan doktór wyszedł z pokoju chorej, Ninka wpatrzyła się w niego z niepokojem, co też powie? A stary, siwy pan, pogłaskał ją po główce i rzekł wesoło:

— Nie martw się, dziecko, mama się zaziębiła, trochę ją serduszko boli, ale jak dzieci będą grzeczne, to prędko wyzdrowieje. Nie trzeba tylko hałasować i chorej nie męczyć.

Ninka weszła na paluszkach do pokoju chorej. Na szerokim łóżku, wysuniętem nieco na środek pokoju, leżała mama. Twarz jej była czerwona, oczy dziwnie błyszczące. Głowę miała obwiązaną chustką, ręce spoczywały nieruchomo na kołdrze. Ciocia pochylona nad łóżkiem, mówiła cichym głosem.

— Nie bój się, to przejdzie. Na czas twojej choroby wezmę urlop z biura i zajmę się dziećmi. Ninko — zwróciła się do stojącej we drzwiach dziewczynki — weź tę receptę, co leży na stole, i zanieś zaraz do Ańdzi, niech idzie do apteki.

Ninka pośpiesznie wykonała polecenie. Gdy wróciła do stołowego, zastała ciocię, siedzącą na otomanie i trzymająca na kolanach Jędrka.

— Ciociu — zagadnęła ją cichutko — czy mamusia bardzo chora?

— Nie, maleńka, mamusi nic nie grozi, ale trzeba bardzo uważać, aby miała spokój: nie hałasować, nie mówić głośno. Od dziś, póki mamusia nie wyzdrawieje, zamieszkam u was i będę spała w jej pokoju, a ty, Ninuś, musisz się zaopiekować Jędrusiem.

Ninka poważnie kiwnęła główką.

— Niech ciocia się nie obawia, ja Jędrka biorę na siebie.

— Maniu — dał się słyszeć słaby głos mamy.

Ciocia postawiła chłopczyka na ziemię i szybko pobiegła do pokoju chorej. Ninka spojrzała na zegar.

— Już dwunasta, trzeba Jędrkowi dać drugie śniadanie — pomyślała.

Pobiegła do kuchni. Ańdzi jeszcze nie było, nie wróciła z apteki. Ale z Ninki zrobiła się gosposia co się zowie. Ugotowanie kaszki

nie przedstawiało dla niej żadnej trudności. Wkrótce przyniosła do stołowego dymiący talerz, wyjęła z kredensu masielniczkę i włożyła do kaszki nieduży kawałeczek masła, bo masło takie drogie i kupić trudno.

Wreszcie zawołała braciszka, który bawił się w dziecinnym pokoju. Malec pośpiesznie przybiegł i z ochotą wziął się do jedzenia.

— Matuś, a może herbatki ci zagotować? zapytała szeptem, całując pieszczotliwie ręce chorej.

— Dobrze, przynieś mi — odpowiedziała cichym głosem pani Orzecka.

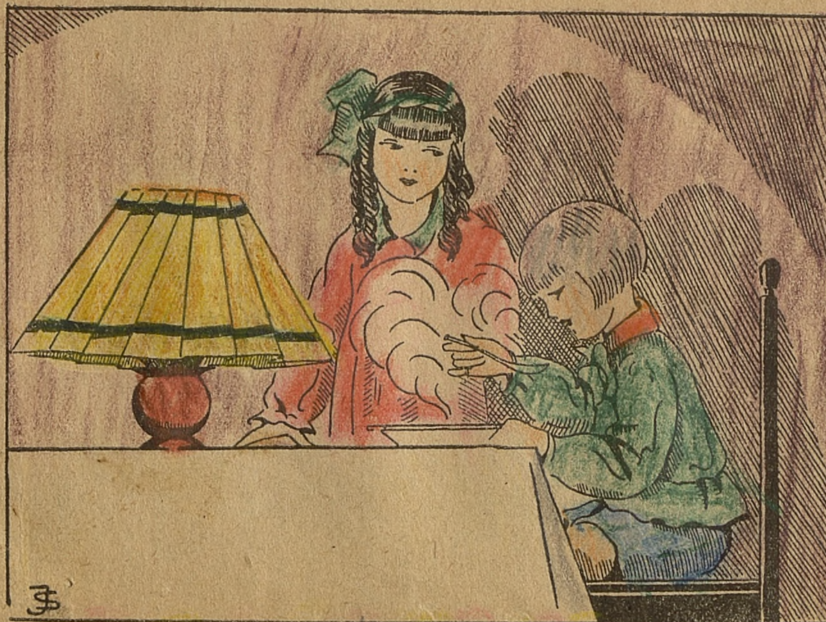
— Dobre, kochane dziecko, pociechą moja jedyna — dodała, goniąc oczyma za wybiegającą dziewczynką.

Po drugiem śniadaniu dzieci uczyły się razem, potem Ninka wytarła kurz we wszystkich pokojach, podlała kwiatki i nakryła do obiadu. Ciocia kazała jej zmieniać wodę w misce, gdzie mokły chusteczki, któremi okładała głowę mamusi.

Przy łóżku mamy bez przerwy czuwała ciocia. Dziewczynka chętnie zastąpiłaby ją, ale przecież Jędrka ani na chwilę samego nie można zostawić, żeby nie hałasował.

Po obiedzie ciocia rzekła do dzieci:

— Taka ładna pogoda! Jędruś nie był dziś jeszcze na spacerze. Wyjdę i wezmę go z sobą, ale ty, Ninuś, nie odchodz od mamy. Za godzinę powrócę, a teraz ubierz Jędrka.



Malec z ochotą wziął się do jedzenia.

Kiedy malec był gotowy, ciocia wzięła go za rączkę i oboje wyszli. Ninka wróciła do stołowego. Sprzątnęła ze stołu, zamiotła podłogę i na palcach weszła do pokoju mamy.

Panował tu mrok, bo doktór kazał spuścić rolety, aby blask nie raził oczu chorej. Mateńka leżała nieruchomo, wypieki na jej policzkach stały się jeszcze silniejsze.

Dziewczynka podeszła do łóżka, delikatnie zdjęła kompres, leżący na czole mateńki i położyła świeży. Wreszcie usiadła na stojącym obok fotelu. Ninka zamknęła oczy i zamyśliła się. Tyle zmian od dnia, kiedy ojciec pojechał na wojnę. Niema go i niema, listu nawet nie pisze. Ona przestała chodzić do szkoły, a teraz mateńka chora. Smutno i źle!

Zamyślenie przerwał ledwie dosłyszalny szept chorej. Ninka zerwała się z miejsca i pochyliła nad matką. Pani Orzecka oczy miała przymknięte, rozpalonemi rękami niespokojnie błądziła po kołdrze. Ze spieczonych gorączką ust pani Orzeckiej dobywały się oddzielne urywane wyrazy.

— Romku... Romku, gdzie ty, gdzie?

Ninka pochyliła się nad matką i starała się ją uspokoić.

— Matuś, to ja, Ninka. Romka niema, pojechał.

Po chwili chora zamilkła, a dziewczynka, odsunąwszy się od łóżka, znowu zasia-

dła na fotelu. Oparła główkę na poręczy i przymknęła oczy.

Nagle zerwała się znowu.

— Trzeba zmienić kompres — przypomniała sobie.

XIII.

MODLITWA.

Mateńka ma się nareszcie lepiej. Bardzo ciężko chorowała. Ninka już nawet nie pamięta, kiedy się to zaczęło. Przez cały ten czas kochana ciocia Mania mieszkała u nich i opiekowała się nimi. Jakby to było bez cioci, aż strach pomyśleć. Ańdzia zajęta, mama chora, a dzieci zupełnie same.

Ale mamie zrobiło się lepiej, gorączka spadła i dziś już razem z dziećmi zjadła talerzyk kaszy. Ninka nie posiadała się z radości, bo doktór obiecał, że teraz napewno wszystko pójdzie dobrze, o ile chora będzie mieć w dalszym ciągu zupełny spokój. Więc Ninka stara się o to, jak może. Najwięcej boi się o Jędrka, który jest jeszcze mały i nie potrafi bawić się cichutko. Lubi biegać, krzyczeć, przewraca krzesełka. Jest tylko jeden sposób, by malec nie hałasował. Trzeba go czemś zająć i wtedy jest grzeczny. To też siostrzyczka wynajduje mu roz-

maite zabawy. A więc wycina mu papierowych żołnierzy, gra z nim w domino, czyta mu głośno. Słowem dba, aby się nie nudził ani przez chwilkę. Ale sama ma przy tem dużo roboty, choć lekcje musiały z konieczności ulec przerwie.

Ciocia starała się i pod tym względem zastąpić mamę, ale niebardzo jej się to udawało, bo nigdy w życiu dzieci nie uczyła. Andzia zrobiła się teraz strasznie nudna. Ciągle tylko narzeka na drożyznę i opowiada, że niedługo już wcale nie będzie chleba, ani cukru. Dzieci szybko odzwyczaiły się od deseru po obiedzie, ba nawet zapomniały, jak to smakowało. Zdarzało się, że ciocia przynosiła czekoladę. Wtedy była wielka uroczystość. Na codzień jednak musiały się obywać bez słodyczy.

Ninka niewiele sobie z tego robiła. Od jakiegoś czasu miała o wiele poważniejsze zmartwienie, o którem jednak z nikim mówić nie śmiała. Oto od dwóch miesięcy ojciec ani razu nie napisał. Z początku pocieszała się, że może listy nie dochodzą, że może Romek nagle przyjedzie i dlatego nie pisze. Ale teraz, kiedy tydzień za tygodniem płynął, a wieści żadnej nie było, niepokój począł gnębić ją nie na żarty.

Mateńka już dawno pytać się przestała, czy listonosz przychodził, ale po smutnych oczach matczynych Ninka wiedziała, co się w jej sercu dzieje. Jedna przed drugą sta-

rały się nie dać poznać, że się martwią i myślą o tem samem.

Mama jeszcze nie wstawała z łóżka, ale doktór obiecywał, że wkrótce pozwoli jej się podnieść. Dnia tego Ninka poraz pierwszy od początku choroby mamy poczuła się weselszą. Nawet śmiała się z Jędrusiem z Łobuza, który ani rusz nie mógł się nauczyć służyć. Gdy tylko malec podnosił go na tylne nogi, wielkie psisko niezdarnie opadało na wszystkie cztery łapy, że Ninka zaniosła się głośnym śmiechem. Ale w tej chwili westchnęła:

— Ach gdyby tak jeden list od ojca, jeden jedyny, choć jedno słówko, jakże byłoby im wesoło, mama napewnoby wyzdrowiała odrazu!

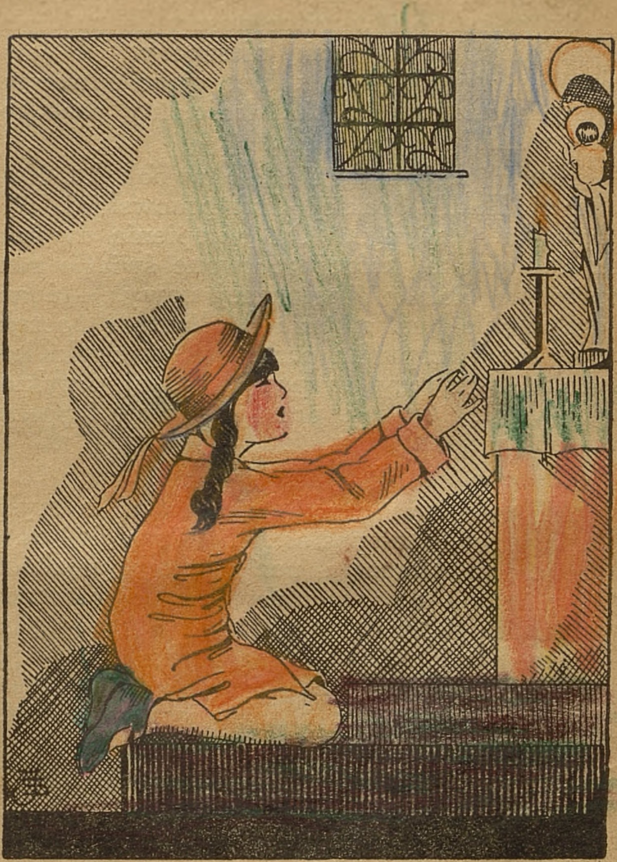
Wtem przypomniała sobie, że już bardzo dawno nie była w kościele, pobiegła więc do kuchni i zapytała

—Ańdziu, czy wyjdziesz dziś na miasto?

— Zaraz idę, abo co?

— No to weź mnie z sobą, bo już ciemno, a ja takbym chciała iść do kościoła.

Ańdzia kiwnęła głową. Niebawem szły obie przez ośnieżone ulice. Suchy śnieg trzeszczał pod nogami. Okna wystaw sklepowych jaśniały rzęsiście światłem. Na ulicy, jak zwykle, panował ożywiony ruch. Co chwila środkiem jezdni toczyły się ciężarowe samochody, pełne żołnierzy z karabinami na plecach. Śmieli się, palili papierosy lub śpiewali głośno.



Wyciągnęła rączki i błagalnie szeptać poczęła.

— O... ilu ich jedzie — dziwiła się Ninka.
Szły szybko i wkrótce doszły do kościoła. Właśnie skończyły się nieszpory. W ławkach siedziało kilka kobiet, cicho odmawiających pacierze. Dziad kościelny przechodzi wolno przez środek.

Ninka pociągnęła Ańdzię w bok ku ołtarzowi Matki Boskiej Częstochowskiej. Nie było tutaj nikogo. Od sklepienia zwisała mała lampka, której czerwone światło rozpraszało ciemność mrocznej nawy. Ańdzia przyklękła na stopniach ołtarza i poczęła półgłosem szeptać i przesuwać paciorki koronki. Dziewczynka poszła za jej przykładem, uklękła obok, przeżegnała się i poczęła odmawiać:

„Zdrować Marja, łaskiś pełna...“

Ale modlitwa jej się nie kleiła, a myśli leciały wdal, nieposłuszne. Wreszcie zmęczona, przykucnęła na zgiętych nóżkach i wpatrzyła się uważnie w ledwie widoczną w mroku twarz Bogarodzicy. Korona, wysadzana kamieniami, w czerwonawem świetle lampki tajemniczo migotała. Zdawało się dziewczynce, że mały Jezus na ręku Matki uśmiechał się do niej.

W tej chwili przypomniała sobie mateńkę, jej chorobę i wielki smutek. Więc wyciągnęła rączki przed siebie i błagalnie szeptać poczęła.

— Matko Boża, daj, aby moja mama płakać przestała i znowu była wesoła i zdro-

wa, jak dawniej. I daj nam list od ojca, bo inaczej moja mama zawsze będzie smutna i chora.

Tu szeptać przestała, gdyż słów jej zbrakło. Wyciągnięte rączki zacisnęły się jeszcze silniej w gorącej prośbie, cała wola i pragnienie wybiegło z małego serduszka ku Najświętszej z matek.

Tymczasem lampka widocznie dopalała się, bo nagle twarz obrazu pociemniała. Dziewczynka ocknęła się i spojrzała dokoła. Obok niej Ańdzia przesuwała paciorki koronki. Ninka przysiadła na stopniach ołtarza i cierpliwie czekała, aż Ańdzia skończy pacierze.

XIV.

WIADOMOŚĆ.

Następnego dnia ciocia musiała już koniecznie iść do biura, bo nie chciano jej przedłużyć urlopu. Coprawda obiecała powrócić, jak tylko skończy pracę, ale rano przykazała Nince nie odchodzić na krok od mamy, a gdyby przypadkiem przyniesiono jaki list, choćby nawet od tatusia, nie pokazywać jej odrazu, a tylko schować aż do powrotu cioci.

— Widzisz moje dziecko — tłumaczyła — mamusia teraz przychodzi do zdrowia, ale trzeba bardzo dbać o jej spokój. Najmniejsze nawet wzruszenie może jej bardzo zaszkodzić. Ańdzia zabierze ze sobą do miasta Jędrusia, aby ci nie przeszkadzał. Potem do obiadu, jakoś go tąm zabawisz, a na obiad wrócę.

— Dobrze, wszystko zrobię, byle mama była zdrowa — rzekła dziewczynka, cału-

jąc dobrą ciocię, do której przywiązała się serdecznie podczas tych paru tygodni.

Tymczasem ciocia ubrała się z pośpiechem i szybko wyszła.

Ańdzia pozmywała po śniadaniu, a Ninka pomogła jej sprzątnąć mieszkanie i ubrała jeszcze Jędrusia, który niemiłosiernie się ociągał. Niebawem mieszkanie opustoszało. Mateńka leżała w pokoju ojca, wysoko oparta na poduszkach i czytała książkę. Dziewczynka rozłożyła na jej łóżku wszystkie swoje lalki i robiła gruntowny porządek w ich garderobie. W pokoju było cicho, jasno i ciepło, bo Ańdzia przed wyjściem napaliła w piecu. Pani Orzecka co chwila podnosiła oczy z nad książki i błądziła niemi po obiciach ścian. Potem przenosiła wzrok na okno i patrzyła na szare zimowe niebo. Dziewczynka, pogrążona w lalkach zapomniała o całym świecie. Właśnie rozmyślała nad tem, czy skrócić Zuzi koszulkę, która trochę wyglądała z pod nowej sukienki, uszytej niedawno przez ciocię, gdy nagle rozważania jej przerwał głos matki:

— Ninuś, zdaje mi się, że ktoś dzwoni.

— Zaraz, mateńko — odpowiedziała, podnosząc główkę, — ale ja nic nie słyszałam.

Dziewczynka położyła lalkę i wyszła z pokoju, zamykając starannie drzwi za sobą. Gdy przechodziła przez stołowy, do uszu jej teraz doleciał głos dzwonka, niecierpliwie szarpniętego.

— Kto to może dzwonić? — pomyślała — przecież nie Ańdzia, bo ma klucz i nie listonosz, bo za wcześnie. Podeszła do drzwi wejściowych i otworzyła je ostrożnie. Na progu stał wysoki nieznajomy pan wojskowy.

— Czy tu mieszka pani porucznikowa Orzecka? — zapytał, wchodząc.

Na dźwięk tego głosu Ninka drgnęła, ale wnet odzyskała spokój, tylko serduszko jej ścisnęło się boleśnie, jakby złem przeczuciem. Nie mogła narazie zdobyć się na odpowiedź, więc stała, kręcąc bezradnie w palcach róg fartuszka.

— Chciałbym się widzieć z żoną pana porucznika — powtórzył gość.

Wtedy dziewczynka podniosła wgórę oczki i odrzekła cicho:

— Tak, ale mamusia jest chora i ciocia powiedziała, żeby jej nie martwić, bo się może zrobić gorzej.

Pan w mundurze spuścił głowę i stał w milczeniu. Potem spojrzał na dziewczynkę i rzekł ciszej:

— Słuchaj, panienko, przynoszę ci wiadomość od ojca. Nie jest zabity — dodał pośpiesznie, widząc jej przerażone oczy, ale niestety — tu głos mu zlekka zadrżał — zginął bez wieści. Może dostał się do niewoli. Nic pewnego nie wiemy.

Ninka słuchała, nie rozumiejąc słów.

— Ninuś, a kto to? — wyrwał ją z odrętwienia głos matki, dolatujący przez zamknięte drzwi.

— Ach, mama — szepnęła bezradnie oglądając się wkoło. Nagle położyła sobie rękę na buzi.

— Proszę pana — wyszeptała błagalnie do nieznajomego, — niech pan sobie idzie i nic nie mówi mamie. Jej nie można marwić. Niech pan przyjdzie potem, jak ciocia wróci z biura, to pan jej wszystko opowie, ale teraz nie!

Wojskowy potrząsnął smutnie głową.

— Niestety, moje dziecko, za parę godzin jadą dalej i po raz drugi przyjść nie mogę. Powtórz sama cioci, co słyszałaś ode mnie.

Zapiął płaszcz, włożył czapkę na głowę, uścisnął rączkę dziewczynki i wybiegł w pośpiechu.

Kroki jego już umilkły na schodach, a Ninka stała jeszcze ciągle nieruchoma.

— Ninuś, a kto to? — wołała znowu pani Orzecka, — z kim tak długo rozmawiałaś.

— Trzeba iść do mamy — pomyślała z przestrachem — ale ona nie może się o tem dowiedzieć.

— Córuś. Chodźno tu do mnie. Wołam i wołam, a ty jakbyś nie słyszała — posłyszała zniecierpliwiony głos.

— Zaraz, już idę, tylko znajdę starą gazetę — zawołała przez zamknięte drzwi.

— A kto to był? — pytała mama.

— To, to... co ja powiem, co ja powiem— myśli z rozpaczą. — To jakiś pan zadzwonił przez pomyłkę do nas, a szedł na trzecie piętro.

— Ale o czem tak długo z nim rozmawiałaś — pytała zdziwiona pani Orzecka.

— On się pytał, czy na trzeciem piętrze mieszkają państwo Kwiatkowscy.

— Oj ty, guzdrało — powitało ją mateńka — trzy razy cię wołałam.

Dziewczynka, milcząc, usiadła nad lalkami i nisko opuściła główkę, aby mama czego z jej twarzy nie odgadła. Gardziołko ciągle miała tak ściśnięte, że z trudem wymawiała jakieś słowa. A tu mateńka widocznie się nudziła, bo ciągle o coś pytała.

— Ach, żeby chociaż Ańdzia przyszła z miasta — modliła się w duchu Ninka.

Wtem z kuchni doleciał donośny głos służącej.

— Wróciła, no dobrze, że chociaż ona — wyszeptała Ninka, zrywając się z otomany.

XV.

WIOSNA.

Wiele dni i wiele nocy upłynęło od owego pamiętnego dnia, kiedy to mama z ust cioci dowiedziała się, że „Romek zginął bez wieści“. Ninka doskonale pamięta ten dzień.

Pamięta, z jakiem utęsknieniem oczekiwała powrotu cioci z biura, jak z płaczem rzuciła się jej na szyję i coś bezładnie opowiadać zaczęła, jak ciocia, przerażona jej łzami, a nie mogąc zrozumieć, co się stało, prosiła, by się uspokoiła i opowiedziała wszystko od początku. A potem, zrozumiawszy nareszcie o co chodzi, weszła do pokoju mamy, zamykając drzwi za sobą. Dziewczynka stała pod niemi, a serduszko biło jej, jak młotem, ale gdy do uszu jej doszedł spokojny głos cioci, odważyła się wejść. Mama leżała bardzo blada, ale spokojna. Na widok córeczki i jej zaczerwienionych oczu, przywołała ją do siebie, przy-

tuliła główkę do piersi i, całując w czoło, rzekła:

— Córuś, czy ty myślisz, że ja się dziś dopiero o tem wszystkiem dowiedziałam? Ja wiedziałem dawno, wcześniej, niż wy wszyscy. Teraz, kiedy wyzdrowieję, będziemy wszyscy pracować i czekać, aż przyjdzie pierwsza wiadomość. Ojciec nie zginął, wiem o tem napewno.

Słysząc te słowa, Ninka niebawem się uspokoiła i uwierzyła, że ojciec musi niebawem dać znać o sobie.

Po kilku dniach pani Orzecka podniosła się z łóżka i wszystko powróciło do dawnego porządku. Tylko ciocia Mania zamieszkała na stałe z mamą w jednym pokoju, żeby było oszczędniej i przyjemniej. W kilka tygodni potem mateńka dostała posadę w tem samem biurze, gdzie ciocia, więc teraz obie rano wychodziły do pracy. Andzia, jak zawsze, szła do miasta a Ninka biegła z Jędrusiem na podwórze. Zima miała się już ku końcowi, śnieg dawno stopniał, dnie stawały się coraz dłuższe.

Potem Jędruś szedł bawić się na pierwsze piętro do sąsiadów. Starszy od niego o rok. Jaś był bardzo grzecznym chłopczykiem, więc obaj bawili się z sobą doskonale.

— Jak tylko urosnę, — mówił Jędruś do Ninki — to pojadę i znajdę Tatkę z pewnością, zobaczysz. Wezmę z sobą Łobuza. On zaprowadzi mnie w to miejsce, gdzie jest

Romek. Dam mu do powąchania jego starą czapkę, to trafi napewno.

Ninka uśmiechała się do braciszka, głaskała go po główce, mówiąc:

— Pójdziesz i odnajdziesz Romka, a może i ja pomogę ci szukać.

Ale ciągle miała nadzieję, że ojciec napisze. Przecież nie zginął, więc powinien dać jakoś znać. Choć mamusia tłumaczyła jej, że teraz ojciec pisać nie może i że listonosz listu żadnego nie przyniesie, ona codziennie oczekiwała z niecierpliwością jego przyjścia, myśląc w duszy:

— A nuż przyniesie. Ale nadzieje te nie spełniały się, bo choć listonosz przynosił rozmaite listy, to jednak w żadnym nie było wiadomości o ojcu.

Kilka razy przychodziły wieści od stryjka Adasia, raz nawet sam przyjechał do Krakowa. Odwiedził mamę, ciocię i dzieci, opowiadał różne ciekawe rzeczy o wojnie, mówił, że legjony poszły teraz na wypoczynek, że wielu oficerów przyjedzie do Krakowa.

— Tak, przyjadą, ale Romek nie przyjedzie — mówiła sobie Ninka i znowu smutek ją ogarniał.

Tylko Jędruś nigdy nie tracił humoru. Nie odstępował stryjka, wiecznie siedział mu na kolanach i męczył prośbami, żeby opowiadał o żołnierzach, koniach i armatach.

* * *

Tymczasem zbliżała się wiosna. Słońce dogrzewało coraz mocniej. Na ulicach przekupnie sprzedawali bukieciki zawilców. Pewnego dnia dzieci uprosiły mamę, żeby pozwoliła im iść z Ańdzią do jej znajomej, która pod miastem dzierżawiła ogród owocowy. Siedziały tam dosyć długo, a zpowrotem przyniosły mamie własnoręcznie uzbierany bukiecik fiołków.

Włożyła je do wazonika i postawiła obok fotografji ojca, która teraz zawsze stała w stołowym pokoju.

Na drugi dzień mama i ciocia, jak zwykle, poszły do biura, mieszkanie było zamknięte, klucz u stróża, a dzieci biegały po podwórzu. Na niebie świeciło słońce, w powietrzu unosiły się pierwsze powiewy wiosny. Coś pachniało radośnie i upajająco. Ninka biegała na wyścigi z Jędrusiem i Jasiem.

— Ale nie zdejmuj płaszczyka, bo mama nie pozwoliła, możesz się przeziębić, ostrzegała Ninka. Nagle uwagę dzieci zwrócił jakiś żołnierz w podartym, brudnym płaszczu, który wszedł na podwórze i patrzył bezradnie dokoła.

Ninka podeszła doń bliżej i ze zdumieniem poznała tego samego Węgra, którego po wyjeździe ojca widziała maszerującego w kolumnie żołnierzy. Na pewno ten sam.

Dziewczynka, zbliżyła się do niego z zapytaniem:

— Czego pan szuka?

Żołnierz nie zrozumiał. Potem jednak, uśmiechnął się przyjaźnie do dziewczynki i zapytał łamanym polskim językiem:

— Panienka, a pani Orzecka gdzie?

— Mamy niema, mieszkanie zamknięte.

— Ja, ja oddać list. list... ja, z niewoli — mówił dalej z trudem żołnierz.

Nince zakręciło się w głowie.

— List, jaki list, skąd list? — pytała bezładnie, ciągnąc przytem za brudny rękaw munduru.

Ale żołnierz nie odpowiadał, tylko powtórzył swoje pytanie:

— Pani Orzecka gdzie?

Ninka zaczęła wołać:

— Pani Orzecka to moja mama. Niech pan mnie da list, a ja go mamie oddam. Żołnierz odchylił połę płaszcza, wyjął z kieszeni nożyk i począł odprówać podszewkę z jednej strony. Po chwili wydobył kawałek grubego papieru, złożony we czworo i wręczył go dziewczynce. Ninka wzięła do ręki ten kawałek papieru i nie wiedziała. co ma dalej z nim robić.

— A list gdzie? — pytała, patrząc w twarz żołnierza.

Ten ręką pokazał na kawałek papieru. Wtedy dopiero zrozumiała. Drżącemi rączkami rozłożyła świstek i poczęła mu się pil-

nie przypatrywać. Początkowo na szarym pomiętym papierze nie zauważyła nic szczególnego. Po chwili dopiero zobaczyła kilka wyrazów, nakreślonych ołówkiem. Litery skakały jej przed oczami. Wreszcie z trudem przesylabizowała:

„Jestem zdrów, w niewoli. Całuję was Romek“.

Czytała tych kilka słów i nie mogła pojąć, co znaczą. Wreszcie zrozumiała. To przecież list od ojca!

Trzymała w ręku ową kartkę i patrzyła na nią, nie wierząc własnym oczom. Wreszcie przypomniała sobie żołnierza, chwyciła go za rękę i poczęła mówić pośpiesznie przerywanym od wzruszenia głosem.

— Niech pan przyjdzie do nas koniecznie, jak mama będzie, o trzeciej popołudniu. Mój panie, mój drogi panie!

Żołnierz uśmiechnął się, kiwnął głową. Potem zawrócił się i wolno wyszedł przez bramę.

Cicha ciepła wiosenna noc rozpostarła swe skrzydła nad uśpionem miastem.

W dziecinnym pokoju spokojnie i cicho, ale Ninka nie śpi. W zadumie patrzy w okno, przez które wlewa się księżycowe światło. Jak cudnie, jak cudnie! Dziewczynka leży i myśli...

— Czy to naprawdę, stało się dnia wczorajszego? Ale przecież doskonale wszystko pamięta. Widzi jeszcze zalaną łzami radości

twarz matki, jeszcze w uszach brzmią jej słowa obdartego żołnierza, co przyszedł, jak jej obiecał, a mama dała mu obiad i puścić go nie chciała. A ten kawałek papieru, brudnego żółtego papieru! Leży, złożony pod wazonikiem fiołków Ach! zobaczyć go, przekonać się, że to nie sen. Więc wysuwa się pocichu z łóżeczka, okrywa kołderką i idzie w świetle księżyca do stołowego pokoju. Tu pod wazonikiem leży kawałek szarego papieru. Dziewczynka dotknęła go paluszkiem, potem przysiadła na brzeżku otomany i wpatrzyła się w fotografję ojca.

— Romku — szepcze — wróć do nas, tak nam bez ciebie smutno.

Wcisnęła się w róg otomany, i owinęła kołderką. Właśnie okrągła twarz księżyca stanęła nawprost okna. Ninka przymknęła oczki. Słodkie marzenia spłynęły ku niej z księżycową smugą.

— Będzie wiosna, ojciec wróci i znowu będą razem nazawsze, i nie będzie już smutku.

Srebrzysty blask oblewa skuloną postać dziewczynki.

Główka odchyliła się w tył. Oparta o poręcz otomany, Ninka oddychała równo, głęboko. Z ciemnej ramki patrzą na nią, ojcowskie oczy. Uśmiechnięte usta zdają się szeptać cichutko:

— Moja mała, Maleńka, mój zuch! Wrócę do was, wrócę napewno!

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁÓW.